

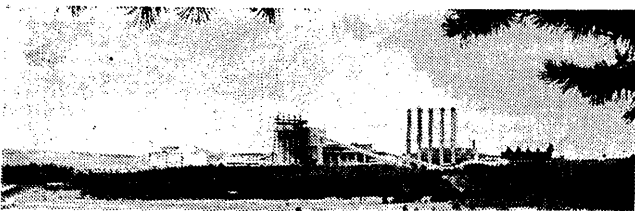
ŻYCIĘ GOSPODARCZE

6 KWIETNIA 1975

NR 14 (1229) ROK WYD. XXX

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

CENA 4 ZŁ



PRODUKCJA
CEMENTU
DZIŚ I JUTRO

TERESA GÓRNIKA str. 1



NA ZADOWOLENIE Z ŻYCIA
SKŁADA SIĘ WIELE CZYNNIKÓW

Rozmowa z profesorem
WACŁAWEM SZUBERTEM

str. 1

W czerwcu
rusza
RAFINERIA
„GDAŃSK”

TADEUSZ STEC str. 14



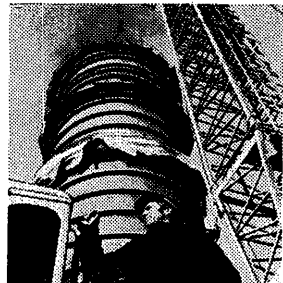
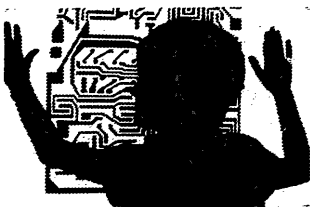
KOTLINA JELENIOGÓRSKA
dylematy współistnienia
przemysłu i turystyki

IWONA WOJTCZAK

str. 10

„DIORA”
gdzie tkwi
błąd?

PIOTR NAWALKOWSKI
str. 3



KOMORNIKÓW
MAMY 539

ERNEST SKALSKI str. 5

Złote medale
„WIOSNY — 75”

ANDRZEJ
NAŁĘCZ-JAWECKI

str. 7



30 lat
węgierskich
przemian

JOZSEF GARAM str. 13

HANDEL
POLSKA — BELGIA

TADEUSZ RUZIK str. 12

CEMENT: RÓWNOWAGA I DYLEMATY

TERESA GÓRNIKA

Po raz pierwszy od kilku lat osiągnęliśmy w tym roku stan zaspokojenia cementowego głodu. Cement znika z listy dóbr importowanych, co będzie tym większą ulgą, że ceny tego materiału, mimo regresu budowlanego w krajach Europy Zachodniej, mają tendencję zwykłą. Wpływa na to zarówno wzrost udziału w kosztach produkcji wydatków na energię, jak i nowe, nieograniczone wprost możliwości jego zbytu w krajach arabskich.

ODCZULIŚMY to dotkliwie na własnej skórze, gdy po roku 1965 z czołwki eksporterów cementu staliśmy się jednym z największych jego importerów. W szczycie „niedoborów”, czyli w roku 1973 musieliśmy zakupić, i to głównie z krajów kapitalistycznych, niebagatelną ilość ok. 1,6 mln ton. Warto przypomnieć te fakty, aby uświadomić sobie znaczenie uzyskania obecnie równowagi między potrzebami a możliwościami.

Przemysł cementowy może być klasyczną nieomal ilustracją skuteczności zmian wprowadzonych w ostatnich latach w dziedzinie zarządzania i planowania gospodarczego. Pierwszy plan ustalony na pięcioletnią przewidywał wielkość produkcji w roku 1975 na poziomie 18 mln ton. Odpowiednio sformułowany był program inwestycyjny i ustalone terminy przekazywania poszczególnych inwestycji. Zakładał on wybudowanie czterech nowych cementowni: w latach 1971-1975 cementowni „Małogoszcz” o zdolności produkcyjnej 1,7 mln ton, w latach 1971-1974 — „Warta II” o zdolności produkcyjnej 1,2 mln ton, w latach 1972-1976 cementowni „Strzelce Opolskie” o zdolności produkcyjnej 1,6 mln ton i I etapu cementowni „Przyjaźń” o zdolności produkcyj-

nej 1,6 mln ton, której budowa trwać miała od 1974 do 1978 r. Łącznie z przekazaniem do eksploatacji w 1972 roku cementowni „Kujawy” oraz rozbudową cementowni „Nowiny II”, „Chelma” i „Rudnik” uzyskać mieliśmy przyrost zdolności produkcyjnej w tym przemyśle o 5 mln 909 tys. ton.

PRZYSPIESZENIE

Plan rozwoju społeczno-gospodarczego uchwalony po VI Zjeździe Partii był planem otwartym. Wyznaczał on minimalne granice rozwoju poszczególnych działów gospodarki, otwierając możliwości korekt w górę, wtedy zwłaszcza, gdy ujawnione potrzeby mogły oddziaływać hamująco na wykonanie zadań w skali ogólnej. Stopień rozwoju przemysłu materiałów budowlanych był od lat typową barierą określającą możliwości inwestycyjne, również w tak ważnej dziedzinie, jak budownictwo mieszkaniowe. Wyrównanie narosłych w poprzednim okresie dysproporcji wymagało stworzenia specjalnych preferencji dla tego przemysłu w planie inwestycyjnym.

Niezależnie od podjętych już, zgodnie z założeniami planu przedsięwzięć, w 1973 roku zapadła de-

cyzja o rozpoczęciu budowy dwóch dużych zakładów przemysłu cementowego o zdolności produkcyjnej po 2,4 mln ton każdy. Jeden z nich — cementownia „Górażdzie” zbudowana ma być w latach 1973-1976, druga — „Ożarów”, której budowę rozpoczęto w 1974 roku przekazana ma być do eksploatacji w 1977 roku. W ten sposób łączne nakłady na rozwój przemysłu materiałów budowlanych zostały w stosunku do pięcioletniej ubiegłej podwojone. I tak, choć teraz o konieczności wyprzedzenia rozwoju tego działu gospodarki ponad tempo wzrostu produkcji budowlanej nie była nowa, urzeczywistnia się ona dopiero w latach siedemdziesiątych.

Pierwsze lata bieżącego pięcioletcia, charakteryzujące się wysoką dynamiką inwestycyjną i szybkim tempem rozwoju zdolności produkcyjnej budownictwa zaostrzyły problem braków materiałowych. Szczególnym obciążeniem dla gospodarki stał się rosnący w szybkim tempie import cementu. Rysujące się możliwości dostaw z nowo wybudowanych zakładów, biorąc pod uwagę planowe terminy ich uruchomienia, nie pozwoliłyby na wyeliminowanie importu również w roku bieżącym. W 1974 r. zapadają dalsze decyzje korygujące ustalenia inwestycyjne. Dotyczą one tym razem skrócenia cyklu inwestycyjnego w niektórych cementowniach tak, aby wcześniejsze przekazanie ich do eksploatacji w ostatnim roku pięcioletcia, zapewniło pokrycie potrzeb. Dzięki temu np. w cementowni „Małogoszcz” rozpalono pierwszy piec w listopadzie ubiegłego roku, czyli o rok wcześniej, niż zakładano się pierwotnie. W marcu br. podjął produkcję drugi piec. Wcześniej niż zakładano plan podjęły produkcję klinkieru „Rudnik II”, wykorzystując go następnie do przemianu na cement w tej samej cementowni.

W rezultacie przyrost zdolności produkcyjnych znacznie przewyższy założenia planu. Wzrósł on mianowicie do 7 600 tys. ton. Program przyspieszeń inwestycyjnych był zadaniem nielatwym dla wykonawców i nie we wszystkich przypadkach został zrealizowany w pełnym zakresie. Generalnie jednak cel podstawowy, jakim było wyeliminowanie importu cementu w ostatnim roku pięcioletcia został osiągnięty. Nie mówiąc już o tym, że jego wykonanie ograniczyło znacznie wielkość importu już w 1974 r.

Presja na szybkie uruchamianie produkcji, dyktowana narastającymi potrzebami, wpłynęła na śmielsze dyscyplinowanie cykli realizacji. Dwie najnowsze cementownie, „Ożarów” i „Górażdzie” mają już być zbudowane w cyklu 36-miesięcznym, podczas gdy dotychczas, nawet w normatywnych cyklach, przyjmowa-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

nasz wywiad

RUCHOMY CEL

ROZMOWA Z PROFESOREM WACŁAWEM SZUBERTEM
DYREKTOREM INSTYTUTU PRACY I SPRAW SOCJALNYCH

ANNA KUSZKO: — W przedmowie do „Studiów z polityki społecznej”, które ukazały się w 1971 roku, pisał Pan Profesor, że „byłby szczytnym, gdyby warunki pozwoliły mu kontynuować prace nad zagadnieniami, których nie zdołał w zbiorze szerzej rozwinąć”. Można uznać, że życzenie się spełniło. Obejmując, po wielu latach działalności pedagogicznej w Łodzi, prowadzenie Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych w Warszawie znalazł się Pan Profesor w samym ścisłym gronie, nad którym pracował dotąd teoretycznie. Jak przebiega to zderzenie teorii z praktyką, pragnień z rzeczywistością? Czy zechciałby Pan Profesor podzielić się refleksjami na ten temat?

WACŁAW SZUBERT: — Refleksji jest bardzo wiele i to różnej, często zupełnie osobistej, natury. Muszę przyznać, że dla człowieka, który sporo uwagi w ciągu swego życia poświęcił polityce społecznej jako nauce, możliwość przyjrzenia się z bliska jak „robi się” ta polityka jest naprawdę pasjonującą. Tego mi brakowało. Zagadnienia, nad którymi pracowałem, nabrały innego wymiaru. Mam teraz dostęp do wielu istotnych materiałów, analiz, porównań, a to pozwala na widzenie spraw w pełniejszym świetle.

— Ma Pan Profesor nie tylko możliwość widzenia, ale chyba i wpływanie na decyzje z zakresu polityki społecznej?

— Prace Instytutu — niewątpliwie zaznaczają się, tak bym to określił, w podejmowanych decyzjach, z tym że wpływ tych prac nie można oczywiście przecenić. Nie znajdujemy się w każdym razie na jałowym biegu. Prace nasze zawsze się zająłają o sprawy praktyczne. I to ma ogromną wartość.

— Uważa się jednak, chyba nie bez racji, że w instytucjach resortowych „nikt nie zna dnia ni godziny”. Praca naukowa wymaga skupienia i czasu, a tu trudno się skoncentrować na jednym problemie. Zmienne

potrzeby resortu przekreślają nieraz wszystkie plany naukowe. Czy Panu Profesorowi, pracującemu dotąd w ciszy swego gabinetu, nie wydaje się to zaprzeczeniem naukowości?

— Bynajmniej. Właśnie praca w instytucjach resortowych dała mi asumpt do wielu przemyśleń nad rolą poszczególnych pionów nauki: uczelni, instytutów Polskiej Akademii Nauk, w pracach której uczestniczę, i instytutów resortowych. Teraz w sposób bardziej jaskrawy niż dotąd uświadomiłem sobie, jak wiele w działalności naukowej jest martwej erudycyjności, prac „na stopień”. Mówimy wprawdzie o badaniach wężowych, ale wyliczamy się nadal ilością doktoratów i prac habilitacyjnych, które ex definitione są naukowe, lecz nie zawsze odpowiadają na ważne problemy, które rodzi życie. I ono właśnie, prędzej czy później, wezwie wielką naukę do poruntu.

— Czy sądzi Pan Profesor, że „mała nauka”, ta, która powstaje w resortowych instytutach, jest bardziej przydatna w rozstrzyganiu wężowych problemów?

— Nie można dokonywać takich porównań. Zakresy działania tych pionów są niewspółmierne. Ale teraz, przeglądając wnikiwiej niż dotąd całą działalność wydawniczą Instytutu, uświadomiłem sobie, że w tych skromnych broszurach z serii „Studiów i materiałów”, „Wybranych informacji tematycznych”, „Materiałów z zagranicy” (wydaliśmy około 40 pozycji w 1974 roku), a także w rozmaitych opracowaniach na określony temat, często podyktowany bieżącą potrzebą resortu, kryje się po prostu wiele cennych spostrzeżeń, których próżno by szukać w pokazanych, oprawnych nieraz w płótno...

— „naukowych „cegłach”.

— Jeśli się temu przyjrzy, inaczej wartościuje się środowisko naukowe. Tu okazuje się czasem, że czło-

wiek, któremu erudycja zapewnia osiągnięcie wysokich stopni w hierarchii naukowej, nie umie dokonać prawidłowej analizy faktów, zaccerpiających z życia, że robią to nieraz o wiele lepiej od niego ludzie, nie mający nawet tytułu magistra, ale pełni inwencji, umiejący twórczo myśleć. Trawestując słowa poety powiedziałbym, że tu właśnie widzi się, iż trudniej rozwiązać trafnie jakiś ważny problem społeczny, niż napisać pracę doktorską. To dla mnie, nie tyle jako kierownika Instytutu, co pedagoga, niezwykle cenne doświadczenie.

— A jednak często pracownicy resortowych instytutów czują się niedoceniani, skarżą się, że są bardziej urzędnikami niż pracownikami nauki, że nie mogą „rozwinąć skrzydeł”?

— Konflikt tego typu ma swoje obiektywne podstawy. Tkwi niejakie immanentnie w samej sytuacji instytutu. Działalność jego podlega bowiem dwóm różnym, jednakowo ważnym, kryteriom. Instytut musi mieć swój dorobek naukowy, musi mieć publikacje „na zewnątrz”, odpowiadające wymaganiom tego typu prac, gdyż od tego zależy jego ranga w świecie nauki. Musi też wykonywać prace bezpośrednio użytkowe, a więc te wszystkie notatki, opracowania „na zaraz”, „na już”. Będąc bowiem placówką naukową jest instytut częścią centralnego urzędu, podlega formalnej dyscyplinie i administracyjnej hierarchii. To podwójne uwarunkowanie stanowi źródło nieuchronnych konfliktów i kompleksów, które każdy z pracowników Instytutu, nie wyłączając mnie, musi stale na swój własny i ogólnospołeczny pożytek rozwiązywać. Trzeba przyznać, że instytut stwarza bardzo utrudnione szanse naukowej kariery. Nielatwo tu ułożyć sobie ciąg badań, ale też nie sposób oderwać się od rzeczywistości co zapewnia ich społeczną rangę.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

Godło: „JADWIGA”

NIE ZAGRZAŁEM MIEJSCA...

30 lat temu nie miałem pojęcia o ekonomii jako nauce. Na łomostwie miałem, i to chyba duże pojęcie o ekonomii życia. Podczas okupacji byłem „wykwalifikowanym” pracownikiem handlu. Związaliśmy ze znajomymi mojego brata spółkę handlową. Prowadziliśmy sklep spożywczy, gdzie zgodnie z okupacyjnym zwyczajem głównym produktem była „potrójna witamina B”, to znaczy: bimber, boczek i bułka. Nasz kapitał założycielski wynosił 5000 zł, a po rozwiązaniu spółki każdy z nas miał przeszło 30 tys. zł. Mając własny kapitał wydzierżawiliśmy lokal sklepowy i zaczęliśmy — przy częściowej pomocy brata — pracować na własną rękę. Oczywiście, nie chodziło tu o robienie maksymalnego zysku, ale ważne było, że miałem zajęcie.

W styczniu 1945 r. zaraz po wyzwoleniu Warszawy pojawiły się refleksje na temat: co dalej? Jeżeli myśleć kategoriami dnia dzisiejszego, to właściwie należało tylko handlować, gdyż interes był w tym czasie bardzo opłacalny. Jeżeli natomiast myśleć kategoriami przyszłości, w dodatku przyszłości w warunkach ukształtowanych przez wynik II Wojny Światowej, to handel można było traktować jako środek do osiągnięcia celu. Cel był jeden — zdobyć wykształcenie, stanowiące skar, którego nikt zabrać nie może.

W 1945 r. brat wstąpił na Wydział Prawa UW, a ja zapisałem się do Wieczorowego Gimnazjum, gdzie w ciągu jednego roku zrobiłem małą i dużą maturę. Oczywiście, nadal prowadziłem sklep.

Mój dzień powszedni przedstawiał się wówczas następująco:
godz. 6 — 7 — pobudka i śniadanie
godz. 7 — 15 — praca w sklepie
godz. 15 — 16 — obiad i przejazd do szkoły
godz. 16 — 20 — nauka w szkole
godz. 20 — 21 — przyjazd ze szkoły i kolacja
godz. 21 — 22 — porządkowanie w sklepie

godz. 22 — 24 — nauka i odrabianie lekcji.

I pomyśleć, że wszystko to działo się wówczas, gdy miałem 26 lat i w dodatku mogłem rozporządzać znacznymi finansami. Chyba trzeba było mieć ten upiór chłopski, aby w tych warunkach narzucić sobie taki spartański tryb życia.

Praca w sklepie była bardzo nerwowa i wyczerpująca, gdyż przez cały dzień był duży ruch, a przy tym o towar nie było łatwo. W dużej części nie było legalnych źródeł zaopatrzenia, wobec tego kombinowało się różnie, co oczywiście wprowadzało nerwową atmosferę. Mimo wszystko miałem satysfakcję z pracy w sklepie, choć nie raz trzeba było przerzucić worki z mąką czy cukrem. Było się jednak niezależnym od nikogo. W roku 1946 zaczęto stopniowo ograniczać handel prywatny. Okres wojny zahartował nas w zakresie ryzyka i dlatego nie zwążyło się na ewentualne chwilowe niepowodzenia. W tym czasie działała Spółdzielnia Zrzeszenia Kupców. Byłem nawet sekretarzem Rady Nadzorczej Zjednoczenia.

W 1946 r. po uzyskaniu świadectwa dojrzałości zapisałem się do Szkoły Głównej Handlowej i na Wydział Prawa UW. Po roku zrezygnowałem z prawa, dalej uczęszczałem już tylko na SGH, którą to uczelnię skończyłem w 1949 r.

W miarę, jak robiliśmy postępy w nauce, coraz gorzej było z handlem. Wobec tego w końcu 1948 r. zamykałem sklep, ponosząc przy tym znaczne straty finansowe. Teraz cały czas poświęcamy na skończenie studiów. Studia ukończyłem jako jeden z niewielu (na około 500 tytułów 15 studentów) w pierwszym terminie wiosennym, z tym, że już w ostatnim roku (tj. 1948/49) zapisałem się i zaliczyłem seminarium magisterskie, co było nadprogramowe, gdyż ukończenie studiów nie dawało tytułu magistra. Pozostało tylko napisać pracę magisterską. Zamiast jednak

od razu zabrać się do pisania zacząłem szukać pracy.

W sierpniu 1949 r. podejmuję pierwszą pracę zawodową jako ekonomista w Ministerstwie Finansów (wówczas jeszcze Min. Skarbu). Na samym początku mojej pracy nastąpił pewien mały incydent, który zapamiętałem na całe życie i którym kieruję się do dziś. Rozpocząłem pracę w jednym z nowo powstałych departamentów, gdzie nie było jeszcze określonego zakresu działania. Departament miał się zajmować finansowaniem samorządu terytorialnego i gospodarczego. Na początku zgłosiłem się więc do Naczelnika Wydziału o przydział pracy. Dwa razy rozmawiał z mną, ale nie przydzielał mi żadnej konkretnej roboty. Gdy wrzuciłem poszedłem do niego po raz trzeci mówiąc, że nie mam co robić, zdenerwowałem się i powiedział mi tak: „W Ministerstwie samodzielny referendarz (a taki był mój służbowy tytuł) sam sobie szuka pracy”. Podziękowałem i wyszedłem z gabinetu.

Od tego czasu mimo, że niedługo minie już 25 lat mojej pracy zawodowej w PRL i to w różnych instytucjach, w różnych sytuacjach i różnych zagadnieniach, nigdy już nie pytam zwierzchnika, co mam robić. Zawsze sam sobie szukam roboty i widocznie dobrze to robię, gdyż mam jej zawsze dosyć i dosyć mają (o ile oczywiście chcą pracować) moi współpracownicy.

Tymczasem w wyniku wyżej przytoczonej rozmowy z Naczelnikiem, już po kilku miesiącach pracy miałem swój paragraf w budżecie państwa. A poza tym zwierzchnicy musieli być chyba ze mnie zadowoleni, gdyż moja pierwsza płaca wynosiła na obecne pieniądze 525 zł (17500 zł ówczesnych pieniędzy), po dwóch i pół miesiącach wzrosła do 615 zł, po następnych dwóch do 720 zł i po następnych pięciu dostałem jeszcze dodatek budżetowy w wysokości 240 zł. Tak, że w ciągu niespełna roku moja płaca podwoiła się.

Pracując w Ministerstwie Finansów równocześnie pisałem prace magisterską, którą skończyłem w 1950 r. Niestety, ukazały się nowe przepisy w tym przedmiocie i trzeba było zdawać dodatkowo egzamin magisterski. Okazało się, że niezbyt dokładnie wykułem 3500 stronicową lekturę z zakresu ówczesnej ekonomii socjalizmu (nie licząc 200 stron marksizmu i gospodarki planowej), gdyż musiałem zgłosić się do poprawki. Ostatecznie egzamin zaliczyłem we wrześniu 1951 r. uzyskując tytuł magistra ekonomii na SGPiS-ie.

Uzbrojony w oręż ekonomii socjalizmu poszedłem od października 1951 r. do pracy w budownictwie. Był to chyba decydujący moment w moim życiu, gdyż na stałe związałem się z budownictwem. Postanowiłem związać się nie tylko pracą, ale również merytorycznymi kwalifikacjami. Wobec tego kończę: 3 tygodniowy kurs planowania, tygodniowy kurs kosztorysowania i dwutygodniowy kurs księgowości. Wreszcie po roku pracy — z uwagi na trudności porozumienia się z techniczną bracią budowlaną — wstępuję do zaocznego technikum budowlanego, które kończę po trzech latach.

W budownictwie zaczynam pracę w Centralnym Zarządzie Budownictwa Miejskiego — Zachód. Specjalizuję się w zagadnieniach kosztów — prowadzę komórkę kosztów własnych. Po dwóch latach mam dość tej pracy — mimo, że stosunki tam były bardzo przyjemne i przechodzę do CZ Prefabrykacji BM na zastępcę kierownika działu planowania. Pracuję tylko 10 miesięcy i coś mnie gna dalej. Następnie pracuję przez 3 miesiące w biurze projektów jako projektant ekonomista nad pewnego rodzaju wstępną metodą oceny projektów inwestycyjnych.

Ekonomia pracy w biurze projektów była prosta — chodziło o to, aby zawsze była premia. Moja płaca z premią przekraczała 3000 zł, mie-

sięcznie, co w następnych miejscach pracy osiągnąłem dopiero po 7 latach.

Z tego biura przeszedłem do pracy w Państwowej Inspekcji Gospodarki Materialowej. Pracowałem równie 10 miesięcy. Praca była dosyć przyjemna. Nie mogłem jednak jakoś pogodzić się z tym, że robiliśmy obrzymie w skali kraju kontrole, które w rzeczywistości nic nie dawały. Gospodarka narodowa nie znała wówczas czegoś takiego jak ekonomia. Po co było wydawać zalecenia po kontrolach, jeśli wiadomo było, że mimo chęci kierownictwa przedsiębiorstwa — nie będą one realizowane, a życie będzie płynąć dotychczasowym trybem nakazów i zakazów.

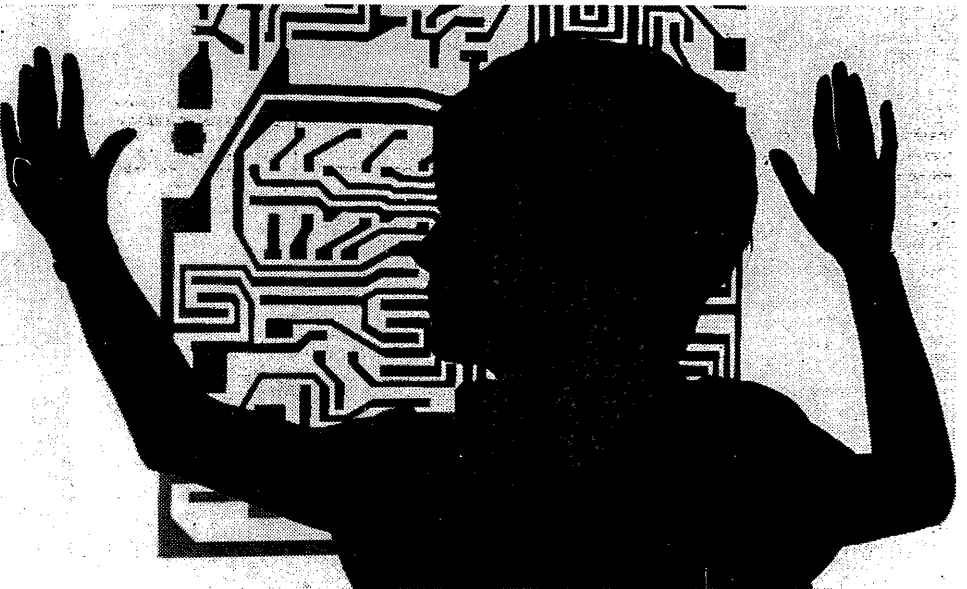
PIGM prowadziła jeszcze kontrole bardziej problemowe, ale spotykaliśmy inspektorów NIK-u zajmujących się drobiazgami, np. rozliczeniem delegacji, którzy nie zajmowali się sumami opiewającymi na miliony strat.

Nie widząc celowości takiej kontroli, szukałem innej pracy, ale jakiej? Mimo, że zmieniłem tyle miejsc pracy jakoś nie mogłem znaleźć sobie takiej, która by mi dawała zadowolenie, w której można by się wyżyć, a zarazem byłaby doceniana i odpowiednio wynagradzana.

Dotychczasowe prace w znacznej części polegały na tworzeniu dodatkowej makulatury. Np. robiło się plany kosztów, które nikt nie obowiązywały. Praca ta miała jednak tę zaletę, że wymagała pewnego wysiłku umysłowego i znajomości zagadnień takich, jakie wówczas występowały. A więc w jakiś sposób wpływało to na gimnastykę umysłową, polegającą przynajmniej na tym, żeby wytargować korzystniejsze warunki od instancji wyższych lub uniemożliwić ominąć przepisy w celu uzyskania premii. Trzeba jednak stwierdzić, że nawyki te tak się zakorzeniły w naszym społeczeństwie, że i obecnie są stosowane, chociaż już w bardziej wysublimowany sposób...

„DIORA” — GDZIE TKWI BŁĄD?

PIOTR NAWALKOWSKI



Fot. S. ZUBCZEWSKI

O D początku bieżącego roku handel sygnalizuje, że na rynku występują niedobory określonych typów radiodiodników i że wyraźnie odczuwa się spadek jakości tych, które są.

Największym producentem radiodiodników w Polsce są ZAKŁADY RADIOWE „DIORA” w DZIERŻONIOWIE. Są one wyłącznym wytwórcą tzw. odbiorników stołowych, także stereo i samochodowych, natomiast odbiorniki turystyczne są produkowane zarówno w „DIORZE”, jak i w bydgoskiej „ELTRZE”, ale akurat w tej grupie sytuacja jest najlepsza. Tak więc prawie cała wina za sytuację rynkową spada na „DIORĘ”.

Zakład przeżywa obecnie poważne kłopoty. Trzeba też dodać, że jest to, niestety, sytuacja ciągnąca się od wielu lat. Co prawda po kilku latach niepowodzeń, w 1973 roku „DIORA” wykonała plan, produkując 700 tys. odbiorników (w tym 90 tys. na eksport do: Anglii, Irlandii, Jugosławii, NRD i Węgier), ale kiedy hucnie światłowodów ten sukces — to ludzie na stanowiskach liniowych rwali sobie włosy z głowy, bo po sześciu dniach w IV kwartale 1973, w rok następny zakład wszedł praktycznie bez produkcji w toku. Różne dodatkowe kłopoty, głównie kooperacyjne, spowodowały, że sytuację w 1974 uratowała tylko poważna korekta planu. Tegoroczny plan (prawie 1200 tys. odbiorników) jest już poważnie zagrożony. Obecnie opóźnienie ocenia się na prawie miesiąc w stosunku do założenia planu.

Co się w takim razie dzieje, że zakład wpisał się do — małego na szczęście — klubu 84 przedsiębiorstw, które nie wykonują planu? Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta; działa bowiem szereg czynników często wzajemnie od siebie zależnych.

Można, oczywiście, z grubsza podzielić przyczyny na wewnętrzne i zewnętrzne, choć jest to podział sztuczny. Do pierwszej grupy należy modernizacja zakładu prowadzona w pełnym biegu produkcji. W wydziale montażu instaluje się prototypowe urządzenia wyprodukowane według dokumentacji japońskiej przez „UNITRA”. Jest to przyczyna, która co

prawda rodzi kłopoty bieżące, ale za to wpłynie na poprawę sytuacji w przyszłości, lecz prawdę mówiąc nie jest to wcale takie jasne. Nowe linie montażowe wymuszają wysokie tempo produkcji. Jak twierdzą pracownicy — może to stanowić przeszkodę w bezbłędnym montowaniu skomplikowanych płytek z podzespołami. Duża ilość omyłek montażu, częste zmiany typów płytek wynikające z kłopotów zaopatrzeniowych obniżają zarobki załogi, co w tak silnym i atrakcyjnym ośrodku przemysłowym, jak Dzierżonów, powoduje odpływ ludzi z zakładu, co pogłębia kłopoty z opanowaniem produkcji.

Na miejsce tych, którzy odeszli, trudno przyciągnąć kogoś spoza miasta, bo brakuje mieszkań. Do konfliktu doszło nawet wtedy, gdy zakład zatrudniał dwa dziesiątki ludzi dla przyciągnięcia lekarzy zakładowych. Decyzja ta, słuszna z punktu widzenia interesu całej załogi, była przedmiotem sporu, który zresztą bardzo obiektywnie przedstawiła śląska „PANORAMA”. Trudno przełamać mieszkaniowy impas, bo obecnie o wiele łatwiej budować mieszkania zakładowi dopiero ruszającemu, niż ustabilizowanej (to bez ironii) „DIORZE”. Nic więc dziwnego, że z Dzierżonowa wielu pracowników ucieka na Górny Śląsk czy „do miedzi”, gdzie na mieszkanie czeka się rok, dwa, a nie 7—10 jak tutaj.

Podobne kłopoty ma jednak przynajmniej kilka setek zakładów w Polsce, a mimo to jakoś sobie radzą. O złej sytuacji „DIORY” decydują inne sprawy. A więc m. in. bardzo tu wyraźnie występujące kłopoty zaopatrzeniowe. Opisaliśmy je już w Życiu Gospodarczym.¹⁾ Teraz jednak do „powszechnych błędów”, o których już nawet nie warto wspominać, doszły inne. Wstrzymano został import tranzystorów niemieckich, które trzeba zastępować tranzystorami krzemowymi i obwodami scalonymi, co oznacza oczywiście zmiany w konstrukcji, wzrost kosztów produkcji i kłopoty z montażem.

Ale i tu znów można powiedzieć, że podobne kłopoty „DIORA” już miała i zapewne długo mieć będzie, czego jej zresztą życzyć nie należy.

Gdzie więc tkwi owa najistotniejsza przyczyna kryzysu?

Wydaje się, że błąd tkwi w koncepcji rozwoju struktury produkcji. Zakład ma wyprodukować określoną ilość radiodiodników. Zakłada się, że przyrost tej produkcji w stosunku do roku ubiegłego osiągnie 37 proc. Z tego 7 proc. przyrostu ma być pokryte przyrostem zatrudnienia, a 30 proc. wzrostem wydajności. Jaki wokół tego powinien być stopień opłacania przyrostu wydajności przyrostem płac? Oto bardzo istotny problem dla zakładu.

Dalej, wcale nie jest jasne, czy struktura produkcji „DIORY” odpowiada popytowi, a więc społecznemu zapotrzebowaniu. Od dwóch, trzech lat, a może nawet czterech gwałtownie zmienił się charakter popytu na radiodiodniki. Przy stosunkowo wysokim nasyceniu nimi gospodarstw domowych, popyt ma charakter przede wszystkim restrykcyjny. Obecnie zainteresowaniem cieszą się odbiorniki turystyczne (jako drugi odbiornik w gospodarstwie domowym lub przejściowy u młodych małżeństw) i odbiorniki stereo Hi-Fi. Nabywców tych ostatnich nie odstrasza nawet wysoka cena, bo przy obecnych stosunkowo wysokich zarobkach można już sobie na taki wydatek pozwolić. Tymczasem przemysł elektroniczny mnoży co prawda w geometrycznym tempie liczbę modeli i prototypów, m. in. „radio dla każdego” — starając się pogodzić postulat tych, co chcą odbiornika stereo, z tymi, co chcą odbiornika turystycznego — ale masowo produkuje prawie wyłącznie odbiorniki stołowe, które są kupowane tylko dlatego, że innych brak.

W bieżącym roku „DIORA” wy-

produkuje przypuszczalnie ok. 200 „MELUZYN” i 200 „ELIZABETH”. Są to ilości — jak mówią chemicy — śladowe. Rynek tej produkcji nie odczuje. A popyt na radia stereo Hi-Fi jest ogromny mimo, że wielu potencjalnych nabywców, zniechęciło się nieco, gdy po początkowej natrętnej wręcz reklamie okazało się, że jakość tych odbiorników jest, ogólnie mówiąc, średnia.

A jest dlatego tak, bo „DIORA” nie ma urządzeń pomiarowych, na których można zestroić tak skomplikowany sprzęt. I dopiero w bieżącym roku dostała limit na zakup takich instrumentów. W przyszłym roku produkcja odbiorników stereo Hi-Fi być może wzrośnie nawet dziesięciokrotnie.

Czas więc zadać pytanie następujące: skoro tak się kształtuje popyt — a przecież w „DIORZE” bądź co bądź orientują się, czego chce rynek — to czy zakład nie powinien koźstem zwiększenia ilości (i to nawet istotnego) zwiększyć produkcji odbiorników stereofonicznych i samochodowych, najbardziej poszukiwanych?

Można także dodać, że „DIORA” działa w ramach systemu opartego na produkcji dodanej, a „UNITRA” była jednym z pierwszych WOG w naszej gospodarce. Teoretycznie więc zakład może decydować o swojej strukturze produkcji. Ale tu właśnie obserwujemy klasyczny rozróż między teorią i życiem. Co prawda z nowego systemu został współczynniki R, ale działa on nie zamiast dyktaw, ale obok nich. Zakład jest opłacany siecią wskaźników, jeśli nie gęściej, to tak samo, jak przed wprowadzeniem nowego systemu. Określona jest nawet struktura produkcji w sztukach każdego modelu

odbiornika. Oczywiście, nie ma mowy o jakiegokolwiek grze ekonomicznej. Nowy system jest w tym przypadku fikcją.

Jaka będzie wobec tego przyszłość „DIORY”? Jest to sprawa bardzo ważna wobec niezrównoważenia popytu na odbiorniki, i to przede wszystkim pod względem struktury.

Czy nie przyszedł czas na generalną rewizję programu rynkowej produkcji radiodiodników? Prawie cały przemysł kooperujący nastawiony jest na produkcję dużych ilości tanich części do odbiorników popularnych; z czego produkować skomplikowane odbiorniki stereo?

W związku z tym — sprawa najważniejsza. Czy rzeczywiście Zjednoczenie „UNITRA” musi określać „DIORZE” plan w sztukach i typach, opracowywać drobiazgowo zadania, wskaźniki i relacje? Przecież „DIORA” to także duży ośrodek konstrukcyjny zajmujący się produkcją radiodiodników od 1945 roku i mogący liczyć na poparcie władz terenowych, dla których zawsze był oczkiem w głowie. Warto przypomnieć legendarne tu dziś odrodzenie „DIORY”, która w dwa tygodnie po pożarze serca zakładu — prototypowi i montażu — uruchomiła produkcję. „DIORA” potrzebuje chyba najbardziej wyzwolenia inicjatywy i energii niezbędnej dla opracowania i realizacji właściwego programu produkcji.

Kłopoty zakładów „UNITRY” dość wyraźnie wskazują na to, że obecny program rozwoju produkcji dla rynku wymaga starannego przemyslenia. W mniej reklamowej atmosferze, a w bliższej konfrontacji z rynkiem.

1) Andrzej Sikorski „Rozwiązania częściowe czy systemowe” ŻG nr 24/71.

listy

Popolemizujmy z prof. F. von Hayekiem

W 10/75 numerze „Życia Gospodarczego” przedstawione zostały fragmenty artykułu prof. Friedricha von Hayeka, ubiegłoroznego laureata nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii. Artykuł ten, noszący tytuł „Inflation's Path to Unemployment” ukazał się już parę miesięcy temu w brytyjskim Daily Telegraph. Wypada jedynie żałować, iż „Życie” zamieściło owe fragmenty z tak dużym opóźnieniem. Szkoda również, że przedstawione fragmenty nie zostały uzupełnione komentarzem Redakcji, odnoszącym się do całości artykułu.

Prof. Hayek stwierdza w swoim artykule dosyć autorytatywnie, iż jedyną przyczyną nekającą obecnie świat kapitalistyczny inflacji jest keynesizm. O ile polityka gospodarcza dalej będzie inspirowana wskazówkami lorda Keynesa, również szybko jak w ostatnim okresie wzrastać będzie bezrobocie, oczywiście z towarzyszącą mu nieodłączną inflacją. Taką jest teza prof. Hayeka, przy czym nie poparla jest ona nawet próbą naukową uzasadnienia.

Jak wiadomo, poglądy, które J. M. Keynes przedstawił w 1936 r. w swojej „Ogólnej teorii zatrudnienia, procentu i pieniądza” stanowiły swego rodzaju próbę wyjaśnienia wielkiego kryzysu i masowego bezrobocia wynikającego z niedostatecznego popytu efektywnego (w krótkim okresie). Keynes — abstrahuje w tej chwili od światopoglądowych założeń jego teorii — dał trafną diagnozę ówczesnej sytuacji i zaproponował określony terapię.

Czy można jednak do jednego worka, mieszczonego się w ramach modelu keynesowskiego, włożyć takie elementy charakteryzujące współczesną gospodarkę kapitalistyczną, jak: ekonomiczne skutki wojny w Niemczech, masową akumulację eurodolarów wynikającą z deficytu bilansu płatniczego Stanów Zjednoczonych, wzrost cen ropy naftowej i innych surowców?

Prof. Hayek zdaje się sugerować, iż, gdyby keynesizm w ogóle nie istniał, wymienione czynniki nigdy nie pojawiłyby się.

Z artykułu wynika również dosyć jasno, że prof. Hayek dostrzega w zasadzie jeden tylko rodzaj inflacji — inflację wynikającą z nadmiernego popytu, stanowiącego rezultat kreacji pieniądza przez państwo w celu osiągnięcia pełnego zatrudnienia (czy można znaleźć u Keynesa też o konieczności ciągłej ekspansji monetarnej dla zrealizowania tego celu?). Nie mówi więc nie prof. Hayek o inflacji kosztowej, inflacji wynikającej z pewnych strukturalnych ograniczeń kapitalistycznego systemu gospodarowania.

Gdyby współczesna inflacja miała rzeczywiście keynesowską etioologię, jak w takiej sytuacji interpretowalibyśmy stagflację?

Tak więc prof. Hayek jawi się poprzez swój artykuł jako zwolennik laissez-fairyzmu. Czyżby w warunkach gospodarki wolnorynkowej możliwe było jednoczesne uniknięcie inflacji i bezrobocia, a wszelkie ograniczenia strukturalno-instytucjonalne, nie pozwalające na elastyczne kształtowanie się cen i zarobków, uległyby natychmiastowej likwidacji?

Szkoda, że prof. Hayek nie przedstawił swoich propozycji konkretnych reform i nowego światowego ładu ekonomicznego.

Dr DANUTA HÜBNER
Warszawa

Mieszkania dla seniorów

Problematyka mieszkaniowa wciąż budzi żywe zainteresowanie społeczeństwa. W związku z artykułem Fajetana Petryki pt. „Co zyskujemy” (ŻG nr 48/74) otrzymaliśmy list czytelnika w sprawie mieszkań dla seniorów:

Bardzo bogaty w treść artykuł należałoby poszerzyć o jeszcze jedno rozwiązanie, tj. o budowę mieszkań dla małżeństw starszych — już bezdzietnych, względnie osób samotnych, fizycznie sprawnych, które nie chcą mieszkać wspólnie z „kochanymi” zięciami i synowymi, a nierzadko i przykrymi wnusiami. Drugim aspektem sprawy jest to, że niejednokrotnie ci ludzie zajmują po 3 i nawet 4 izby, podczas gdy dla ich potrzeb w zupełności wystarczyłyby tylko 2 izby. Trzeci aspekt — ludzie starsi bywają zmęczeni życiem, mającym imiast i zapewne chętnie mieszkaliby gdzieś na skraju miasta lub w ogóle w „zapadłej dziurze”, aby zażyć wreszcie ciszy, spokoju, czystego powietrza itp.

Wydaje mi się, że budowę takich domów dla seniorów powinny patronować resorty przemysłowe, jak również Min. Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska — przy częściowym wkładzie osób reflektujących na takie mieszkania, dokonywane.

DOKONCZENIE NA STR. 4

nującymi wpłat z kilkunastoletnim wyprzedzeniem, podobnie jak ma to miejsce z księżeczkami mieszkaniowymi PKO.

EDWARD REJDYCH
Trzebinia

Narty – towar eksportowy

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł red. Jerzego Jurowskiego pt. „Zarobić w sporcie” (Z.G. nr 10/75). Wydaje się, że moglibyśmy szerzej wkręcić się z wlaszcza na rynek krajów RWPG – z polskim sprzętem sportowym, a w szczególności z nartami z wytwórni w Szafarach. Poszukujemy przecież możliwości eksportowych, a eksport nart mógłby przynieść w najbliższych latach na pewno spore dochody, gdyż wszędzie mimo okresowego braku śniegu obserwuje się ogromny rozwój narciarstwa zjazdowego i turystycznego. Będąc w marcu br. w Szczyrbskim Jeziorze w Czechosłowacji obserwowałem inwazję narciarzy – sprzęt jakim się posługiwali był różnego pochodzenia. Aż się prosi, by przy okazji rozmaitych zawodów – i w Szczyrbskim Jeziorze, i gdzie indziej – reklamować polski sprzęt. Oczywiście narciarze-zawodnicy musieliby udzielić kompetentnej odpowiedzi, czy nasz sprzęt nadaje się wyłącznie do uprawiania narciarstwa „wczasowego”, czy też są szanse, by na polskich deskach uzyskiwać znaczące rezultaty na międzynarodowych zawodach? Należałoby tylko w pierwszym okresie pomóc wytwórni nart w Szafarach w jakościowym doskonaleniu produkcji i ilościowym jej zwiększeniu.

Eksport nart powinien przynieść nie tylko ewidentne zyski gospodarcze, ale przyczynić się także do rozwoju narciarstwa w Polsce. Sadzę, że wydanie pieniędzy na rozwój wytwórni w Szafarach i na reklamę polskich nart nie jest żadnym ryzykiem, lecz koniecznością wynikającą z ekonomicznego rachunku. Może zdążyliśmy jeszcze zająć dobrą pozycję na narciarskim rynku?

LUCJAN POWAJBO
Warszawa

To nie kramik to Sukiennice!

W związku z notatką w rubryce „Żywioci Gospodarczy” (Z.G. nr 8/75) informujemy, że Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Labimex”, powołane Zarządzeniem Nr 45 Ministra Handlu Zagranicznego z dn. 29.8.1973 r., zajmuje się importem i eksportem aparatury naukowej-badawczej, optycznej, laboratoryjnej, sprzętu dydaktycznego, kompletnych laboratoriów oraz usług i myśli technicznej.

Obroty PHZ „Labimex” w ub. r. wamknęły się kwota 218,7 mln zł dew. (a nie 4,5 mln zł dewizowych, jak podawała nasza notatka – Red.), co oznacza przekroczenie zadań planowych; w tym np. plan eksportu do krajów kapitalistycznych wykonany został w 141 proc.; również w b.r. wyraża się on szczególnie wysoką dynamiką. Zobowiązującym wyrazem uznania dla wyników działalności przedsiębiorstwa był list Towarzystwa Edwarda Gierka i Towarzystwa Piotra Jaroszewicza, skierowany w styczniu b.r. do Złoty, Organizacji Partijnej i Rady Zakładowej naszego przedsiębiorstwa. Odpowiedzią na list było podjęcie na br. nowych zobowiązań.

Aktualnie PHZ „Labimex” zatrudnia 223 pracowników (a nie 45 osób – jak informował „Żywioci” – Red.). Niemniej trudna sytuacja lokalowa przedsiębiorstwa powoduje, że pracownicy rozmieszczeni są w wielu oddległych od siebie punktach Warszawy, w lokalach nie spełniających wymogów pomieszczeń biurowych, obłożonych prawomocnym zakazem Inspektoratu Pracy zatrudnienia w nich pracowników.

W związku z podaniem w notatce danych sprzecznych z rzeczywistością i sformułowań krzywdzących dla załogi („Głównym zajęciem tego kramiku są starzenia o wystawienie sobie biurowa” – Red.), pracujące ofiarne w najtrudniejszych warunkach, uprzejmie zapraszamy Obywatela Redaktora do zapoznania się z rodzajem działalności, zakresem zadań i warunkami pracy naszej centrali, w celu skorygowania nieprawdziwych informacji.

Następują podpisy dyrektora naszego „Labimexu”, I sekretarza POP PZPR oraz przew. Rady Zakładowej (nieczytelne).

RED.: Błędna, nie sprawdzona informacja to najcięższy grzech dziennikarski; żartobliwy ton notki prosimy nam wybaczyć, bo taki jest „genre” tej rubryki, za zaproszenie dziękujemy i postaramy się z niego skorzystać.

ELEMENTY EKSTENSYWNE I INTENSYWNE WZROSTU W LATACH 1951 – 1970

MAREK OKÓLSKI

NA rynku wydawniczym pojawiła się praca o kapitalnym znaczeniu dla dalszych dyskusji dotyczących charakteru wzrostu gospodarczego i efektów podstawowych czynników wzrostu we współczesnej Polsce. Książka – MIECZYSLAWA NASIŁOWSKIEGO, ANALIZA CZYNNIKÓW WZROSTU GOSPODARCZEGO PRL – wyróżnia się nie tylko wzorową analizą teoretyczną tempa wzrostu oraz warunkujących go czynników, ale również drobiazgową konfrontacją znaną z teorii ekonomii, z i stwierdzeń z danymi statystycznymi opisywającymi rzeczywistość gospodarczą. Książka dotyczy okresu lat 1951–1970, z pewnym wybiegnięciem poza ten przedział w zakończeniu.

Recenzowana praca nie ustosunkowuje się explicite do pojawiających się w ostatnich latach w naszej literaturze fachowej opracowań klasyfikujących i wartościujących czynniki wzrostu; stanowisko autora daje się z niej jednak łatwo odczytać. Rozważa on wyłącznie czynniki o podstawowym znaczeniu dla kształtowania dochodu narodowego (nakłady osobowe i rzeczowe, efektywność stosowania siły nakładów oraz zmiany technologiczno-organizacyjne), i to wyłącznie w ujęciu jednoznacznie mierzalnym. W pewnych partiach książki odnaleźć można nawiązanie do toczącej się w 1969 r. na łamach „Życia Gospodarczego” dyskusji na temat wyodrębniania ekstensywnych i intensywnych czynników wzrostu.

Niezależnie od innych refleksji, których część zreferowana zostanie poniżej, wrażeniem dominującym wyciesionym z lektury pracy M. Nasilowskiego jest uznanie dla autora, że nie wahał się podjąć trudów opracowania i analizy materiału statystycznego niekiedy nie w pełni porównywalnego, co nie najwyższej często jakości, nie obawiał się wziąć na warsztat okresu nie stwarzającego okazji do sformułowania optymistycznych konkluzji. To ostatnie stwierdzenie może zostać odczytane właściwie, jedynie przez przyznanie opartych przecież na tym samym materiale empirycznym i podobnych narzędziach badawczych ocen owych tendencji, wypowiedzianych kilka lat wcześniej.

Nie umniejszając w niczym wartości analizy zawartej w książce M. Nasilowskiego, chciałbym zwrócić uwagę na niepełność niektórych obliczeń. Autor opierał się na danych Głównego Urzędu Statystycznego figurujących w publikacjach rocznikowych, nie dokonał jednak ich weryfikacji, nie posługiwał się alternatywnymi szacunkami. Znajdą pewne ułomności polskiej statystyki, wyrażające się m. in. w niedokładnym szacunku zatrudnienia w rolnictwie, niedoszacowywaniu wartości produkcji rolniej, niedoszacowywaniu wartości nakładów inwestycyjnych i produkcyjnego majątku trwałego itd. Można domniemywać, że brak weryfikacji oficjalnych danych prowadzi, zwłaszcza przy analizie makroekonomicznych i dokonywanych dla dłuższych okresów czasu, do nawiązania się błędów o trudnym do określenia rzędzie wielkości.

Motywe przewodził recenzowanej książki stała się ocena procesu wzrostu gospodarczego w Polsce z punktu widzenia różnych metod badawczych. Dodatkowy efekt o niebagatelnym znaczeniu, jeśli idzie o sens ograniczeń i przydatność konkretnych metod, uzyskany został dzięki ocenie ich wartości poznawczej w zestawieniu z odpowiednimi informacjami statystycznymi oraz wynikami, do jakich doprowadziły metody alternatywne.

Książka rozpoczyna się, rzecz by można, tradycyjnie od analizy wzrostu dochodu narodowego, opartej na badaniu wpływu, jaki wywierają na zmiany liczby zatrudnionych i wydajności pracy, a w dalszej kolejności – zmiany wartości produkcyjnego majątku trwałego i jego efektywności. Autor wyodrębnia wpływ zmian w strukturze zatrudnienia według działów gospodarki narodowej oraz zmian w analogicznej strukturze produkcyjnego majątku trwałego na tempo wzrostu dochodu narodowego, jak również dokonuje podziału czynników na mające charakter ekstensywny i intensywny.

Ta część pracy ujawnia kilka dość zaskakujących faktów. Na przykład okazuje się, że w skali całej gospodarki narodowej wkład, jaki we wzrost dochodu narodowego wnosił przyrost liczby zatrudnionych, a więc czynnik uważany za par excellence ekstensywny, był znacznie niższy od wkładu wzrostu wydajności pracy. Autor tłumaczy to znaczeniem intensyfikacji produkcji rolnictwa dla ca-

łokształtu wzrostu gospodarczego, niemniej – jak się wydaje – w grę wchodzić mogą również inne przyczyny.

Wyodrębnione przez M. Nasilowskiego zmiany w strukturze zatrudnienia działały jednakierunkowo na wzrost dochodu narodowego, a ich udział w całkowitym przyroście dochodu wahał się (w zależności od 5-lata) między 9,3 proc. a 17,8 proc. Podobny był efekt zmian w strukturze produkcyjnego majątku trwałego, jakkolwiek ich udział wykazywał większą rozpiętość (8,6 proc. – 22,0 proc.). Spostrzeżenia te są niewątpliwie pouczające, chociaż niełatwo na ich podstawie określić stopień, w jakim zaobserwowane zjawiska były zgodne z ogólnymi prawidłowościami wzrostu na etapie osiągniętym przez Polskę w latach 1951–1970.

Niewątpliwie, najistotniejszym elementem omawianej części książki (rozdz. II i III) jest ocena tendencji w stosowaniu poszczególnych czynników wzrostu. Badając wpływ zatrudnienia i wydajności pracy, autor stwierdza m. in. pogłębianie się procesów charakterystycznych dla wzrostu ekstensywnego, czego dowodem był coraz niższy udział wzrostu wydajności pracy we wzroście dochodu narodowego. Analizując wpływ majątku trwałego i jego efektywności, dochodzi on do wniosku, że podczas gdy pierwszy z czynników rósł na znaczeniu, to znaczenie drugiego z nich, maleło.

Zagadnienie wyodrębniania elementów typu ekstensywnego i intensywnego we wzroście rozwijał autor porównując dynamikę wydajności pracy z dynamiką technicznego uzbrojenia pracy (wartością środków trwałych na 1 zatrudnionego). Różnica między tempami wzrostu tych wielkości (tzw. reszta) stanowi efekt działania czynników intensywnych. Konkluzja M. Nasilowskiego na podstawie analizy empirycznej wyrażona została w sposób następujący: „Udział efektów działania ekstensywnych czynników w przeciętnym tempie wzrostu dochodu narodowego z okresu na okres wzrastał i w ostatnim z analizowanych pięcioletni przewyższał nawet przeciętne tempo wzrostu dochodu narodowego”.

Z wielką pasją napisany został rozdział poświęcony analizie wzrostu na podstawie wieloczynnikowej funkcji produkcji typu Cobb’a–Douglasa. Odnieść można wrażenie, że przystępując do niej autor wiele sobie po tym obiecywał. Spotkało go jednak niepowodzenie, wynikające z faktu otrzymania absurdalnych ocen parametrów funkcji produkcji, z drugiej jednak strony niepowodzenie nie stworzyło mu możliwości przedstawienia kolejnego, trudnego do podważenia dowodu, że w skali gospodarki narodowej en bloc, zwłaszcza w odniesieniu do niestabilnych warunków ekonomicznych, funkcja typu Cobb’a–Douglasa nie stanowi właściwego narzędzia badawczego.

Niemniej jednak, przyjmując założenie, że suma elastyczności dochodu narodowego względem produkcyjnego majątku trwałego i względem zatrudnienia równa jest jednemu, jak również, że wartości obu tych parametrów są równe (tj. wynoszą 0,5), autor wykorzystuje wspomnianą wyżej funkcję do oszacowania parametru wyrażającego tempo wzrostu efektów postępu techniczno-organizacyjnego. Parametr ten spełnia następnie rolę jednej z niezależnie obliczonych miar intensywności wzrostu gospodarczego w Polsce. Udział efektów działania czynników o charakterze intensywnym, niezależnie od sposobu obliczeń, w omawianym okresie wykazywał w zasadzie stałą tendencję malejącą.

Ocena tej tendencji jest jednoznaczna; mimo różnic w skali zmniejszania się efektów czynników intensywnych, poprzeczając się w badanym okresie sytuacja w zakresie strategii wzrostu gospodarczego wydaje się faktem niepodważalnym. „Kontynuowanie tej strategii rozwojowej i utrzymywanie ponad historycznie uzasadnione potrzeby nadmiernie scentralizowanego systemu kierowania z jego ekstensywnymi i jednostronnie ekspansywnymi kryteriami wzrostu – pisał M. Nasilowski – doprowadziło do dość drastycznego obniżenia efektywności gospodarowania w ostatnim z analizowanych okresów pięcioletnich”.

W rozdziale VII, przedostatnim, autor przedstawił główne przyczyny

pogłębiania się tendencji do ekstensywnego wzrostu gospodarczego w Polsce.

Z pierwszą z nich, polegającą na maksymalizacji zatrudnienia, wiązała się nadmierna aktywizacja zawodowa osób, które przy innej polityce dochodów i płac nie pojawiłyby się w ogóle na rynku pracy. Były to przy tym osoby o najniższych kwalifikacjach. Jednocześnie, w wysokim, często nieuzasadnionym poziomie zatrudnienia udział miała polityka zakładów pracy; w warunkach dominacji planu rocznego i krótko- i średnio- i długoterminowych celów, a także w obliczu płynności kadr i słabej dyscypliny pracy, zainteresowane one były w utrzymywaniu znacznych „rezerw siły roboczej”.

Drugą z przyczyn stanowiło nierównomierne inwestowanie oraz niekonsekwencje w prowadzonej wówczas polityce inwestycyjnej.

Przykładów na poparcie tego jest zbyt wiele, by można je było choćby tylko wymienić. Do najbardziej charakterystycznych należą: dążenie do autarkicznej struktury produkcji w okresie odbudowy gospodarczej, formułowanie zbyt ambitnych zadań w tzw. priorytetowych dziedzinach przy jednoczesnym zaniedbaniu inwestycji w innych działach, zwłaszcza inwestycji modernizacyjnych i rekonstrukcyjnych, traktowanie inwestycji jako najłatwiejszego, „darmowego” czynnika realizacji zadań planowych przedsiębiorstw, praktyki „zaczepiania się o plan”, zaniżanie kosztorysów inwestycyjnych i związane z tym napięcia, zbyt długie cykle, zbyt długie okresy dochodzenia do pełnej zdolności produkcyjnej obiektów inwestycyjnych, okresowe zwężanie proporcji inwestowania w sferze produkcyjnej i nieprodukcyjnej oraz w obrębie sfery produkcyjnej, nadmierne wydatki na budynki (przy zbyt małych, na wyrost starych maszyn), nieuzasadnione rozszerzanie frontu robót inwestycyjnych itp., słowem – to wszystko, co obejmuje znane w literaturze pojęcie nadmiernej skłonności do inwestowania.

Do trzeciej grupy przyczyn autor zaliczył ograniczenia postępu techniczno-organizacyjnego, wynikające z nakazowego systemu zarządzania. Podstawowym zagadnieniem z tym związanym była w badanym okresie nadmierna rola zadań planu rocznego, siła rzeczy odwołującego się do ekstensywnych metod gospodarowania. Dyrektywny system zarządzania, podstawowym zagadnieniem z tym związanym była w badanym okresie nadmierna rola zadań planu rocznego, siła rzeczy odwołującego się do ekstensywnych metod gospodarowania. Dyrektywny system zarządzania, podstawowym zagadnieniem z tym związanym była w badanym okresie nadmierna rola zadań planu rocznego, siła rzeczy odwołującego się do ekstensywnych metod gospodarowania. Dyrektywny system zarządzania, podstawowym zagadnieniem z tym związanym była w badanym okresie nadmierna rola zadań planu rocznego, siła rzeczy odwołującego się do ekstensywnych metod gospodarowania.

W ostatnim rozdziale książki przedstawione zostały tendencje wzrostu gospodarczego Polski w latach 1971, 1972. Według danych przytoczonych przez autora zaznacza się tendencja do wzrostu znaczenia czynników o charakterze intensywnym.

Należy dodać, że jeden z rozdziałów książki ma charakter wyłącznie teoretyczny. Autor rozwija w nim formułę wzrostu dochodu narodowego prof. Kaleckiego, proponując odróżnianie kapitałochłonności technologicznej od kapitałochłonności wieloczynnikowej. Równocześnie autor odwołuje się do teorii wzrostu gospodarczego prof. Kaleckiego, proponując odróżnianie kapitałochłonności technologicznej od kapitałochłonności wieloczynnikowej. Równocześnie autor odwołuje się do teorii wzrostu gospodarczego prof. Kaleckiego, proponując odróżnianie kapitałochłonności technologicznej od kapitałochłonności wieloczynnikowej.

W postaci książki M. Nasilowskiego otrzymujemy nowe narzędzie analizy procesu wzrostu gospodarczego i warunkujących go czynników podstawowych. Niezależnie od jej walorów naukowych, dzięki przejrzystości i logicznemu wykładowi, stanowi ona z pewnością cenną pomoc dydaktyczną dla studentów ekonomii. Można przewidywać, że przyczyni się zwłaszcza do zmniejszenia stopnia abstrakcyjności wykładów poświęconych teorii wzrostu gospodarki socjalistycznej.

M. Nasilowski, Analiza czynników wzrostu gospodarczego PRL, PWE, Warszawa 1974, str. 235.

STUDIA NAD EKONOMIKĄ REGIONU

ANTONI SMYKOWSKI

SŁASKI INSTYTUT NAUKOWY podjął problematykę badań nad regionem. „STUDIA NAD EKONOMIKĄ REGIONU” są pierwszym w kraju tego typu wydawnictwem ciągłym, zawierającym opracowania na temat zagadnień rozwoju regionów przemysłowych zarówno w aspekcie ogólnoteoretycznym, jak i empirycznym.

„Studia nad ekonomiką regionu” ukazują się pod redakcją naukową prof. dr hab. JERZEGO PIETRUCHY, wicedyrektora i kierownika Zakładu Badań Ekonomicznych w Śląskim Instytucie Naukowym. Poszczególne tomy wydawanej serii poświęcone są wybranym zagadnieniom problematyki regionów przemysłowych.

Tom I „Studiów nad ekonomiką regionu” zawiera opracowania na temat programowania rozwoju regionów ekonomicznych. W części ogólnoteoretycznej zamieszczono rozprawę, w których znani naukowcy, między innymi: ALOJZY MELICH, BOLESŁAW WINIARSKI, ANTONI FAJFEREK omawiają takie zagadnienia, jak: rola i zadania nauk ekonomicznych w programowaniu rozwoju regionu, elementy programu przeobrażenia gospodarki regionu, treść i formy prognozowania rozwoju regionu, treść i formy prognozowania rozwoju regionów ekonomicznych, model badań międzyregionalnej wymiany dóbr (na przykładzie województwa katowickiego), teoretyczne problemy badań produktywności majątku trwałego.

Część druga tomu dotyczy badań nad ekonomiką województwa katowickiego i zawiera prace, w których przedstawiono wyniki studiów nad: kompleksowym wykorzystaniem oraz ochroną zasobów i surowców mineralnych w gospodarce województwa, produktywnością majątku trwałego w górnictwie węgla kamiennego, charakterystyką procesu inwestowania w przemyśle województwa, województwa w latach 1950–1965, czynnikami wzrostu produkcji przemysłowej hutnictwa żelaza i stali w województwie.

Tom II „Studiów” poświęcony jest różnorodnym aspektom problematyki społecznej. Swe rozważania zaprezentowali w nim: EDWARD ROSET, ALOJZY MELICH, JERZY PIETRUCHA, WIKTORIA I STANISŁAW M. ZAWADZCY. Autorzy poruszają takie problemy, jak: polityka społeczna i demografia, warunki bytu ludności regionu przemysłowego w świetle zadań polityki społecznej, reperkusje rozwoju ludności w kształtowaniu i realizacji polityki zatrudnienia, społeczne oraz ekonomiczne skutki szkód przemysłowych i górniczych w regionach wysoko uprzemysłowionych, planowanie regionalne jako instrument polityki społecznej, problemy konsumpcji w długookresowym rozwoju regionów. Natomiast wyniki badań empirycznych prowadzonych na terenie województwa katowickiego przedstawione są w artykułach dotyczących między innymi przeobrażeń infrastruktury społecznej w tym regionie, korelacji między rozwojem zatrudnienia i zmianami wydajności pracy w przemyśle województwa w latach 1955–1970, siły nabywczej ludności województwa, funkcji rozkładu dochodów ludności województwa.

Tom III „Studiów nad ekonomiką regionu” został poświęcony szeroko pojętej problematyce osadnictwa, z równoczesnym uwzględnieniem środowiska naturalnego w regionie przemysłowym. Podstawowe artykuły, dotyczące problematyki badań nad osadnictwem oraz przemian struktury osadniczej w województwie katowickim, zostały opracowane na podstawie referatów wygłoszonych na konferencji naukowej, zorganizowanej przez Śląski Instytut Naukowy w grudniu 1970 roku.

Celem konferencji było określenie teoretycznych podstaw współczesnych badań osadnictwa w regionie, zobrazowanie strukturalnych przemian osadnictwa w województwie katowickim w PRL, ustalenie kierunków dalszych badań osadnictwa w Katowickim. Referaty wygłosili między innymi STANISŁAW LESZCZYCKI, WALERY GEOTEL i KAZIMIERZ DZIEWOŃSKI, ANTONI FAJFEREK.

W artykułach zamieszczonych w III tomie „Studiów nad ekonomiką regionu” porusza się problemy podstaw polityki środowiskowej, kierunków badań osadnictwa w Polsce na tle badań w nauce światowej, zastosowań metod statystyczno-matematycznych do badań osadnictwa. Natomiast część druga dotyczy między innymi problemów przeobrażenia osadnictwa wiejskiego w województwie, procesów urbanizacyjnych, ze szczególnym uwzględnieniem konurbacji górnośląskiej.

Tom IV „Studiów” poświęcony jest problematyce rozwoju regionów gospodarczych. Główne problemy sty-

mulatorów rozwoju regionów przemysłowych przedstawił ALOJZY MELICH, koncentrując się przede wszystkim na podstawowych zasadach rozwoju regionów. W artykule JERZEGO PIETRUCHY, dotyczącym ogólnych modeli gospodarki regionalnej w literaturze amerykańskiej i zachodniemieckiej, dokonano ogólnego przeglądu różnych koncepcji i modeli gospodarki regionalnej. „Przestrzenna koncentracja środków inwestycyjnych jako czynnik wzrostu efektywności gospodarowania” jest tematem pracy TADEUSZA PYKI. Autor przedstawił poglądy ekonomistów krajów kapitalistycznych dotyczące problemów inwestycyjnych, dokonał matematycznej interpretacji pojęcia koncentracji oraz związanych z tym korzyści zewnętrznych i wewnętrznych. W części drugiej poruszono zagadnienia inwestycji jako czynnika przeobrażeń strukturalnych w regionach przemysłowych, wielofunkcyjnego wykorzystania terenów kolejowych jako elementu integracji przestrzennej aglomeracji województwa oraz perspektywy rozwoju hutnictwa i stali.

Tom V „Studiów” poświęcony problematyce makroregionów, ze szczególnym uwzględnieniem makroregionu południowego. Część ogólnoteoretyczna zawiera opracowania, których autorami są między innymi JERZY KOŁODZIEJSKI, STANISŁAW BĘDZIOŃSKI, BOLESŁAW MALISZ, JERZY PIETRUCHA. Poruszono zostały między innymi problemy planowania regionalnego w systemie planowania gospodarki narodowej, teoretycznych aspektów struktur przestrzennych aglomeracji wielkomiejskich, metod przestrzennych w planowaniu regionalnym, podstawowych czynników wzrostu gospodarczego makroregionów ekonomicznych. W artykułach dotyczących badań nad makroregionem południowym omawia się węzłowe problemy inwestycyjne makroregionu, wielkość inwestycji przemysłowych i środków trwałych oraz turystykę w makroregionie południowym.

W najbliższym czasie ukáže się tom VI „Studiów nad ekonomiką regionu”, poświęcony tendencjom zmian w strukturze regionów przemysłowych. Część ogólnoteoretyczna zawiera opracowania ANTONIEGO FAJFERKA, FELICYTY I BOLESŁAWA WINIARSKICH, JERZEGO PIETRUCHY, ALOJZEGO MELICHA, STANISŁAWA HERMANA I PIOTRA EBERHARDA.

Odmówione zostaną w nim także zagadnienia, jak: przeobrażenia struktur regionalnych Polski oraz kierunki ich analizy, delimitacja regionów przemysłowych na przykładzie makroregionu południowego, podstawy badań procesu starzenia się ludności w regionach osadniczych, społeczne aspekty polityki rozwoju regionalnego. W części dotyczącej badań nad ekonomiką województwa katowickiego przedstawiono przyrodnicze warunki rozwoju gospodarczego regionu, próby prognozy nakładów inwestycyjnych w województwie na lata 1971–1975, tendencje zmian w strukturze osadniczej przemysłu Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego.

Przygotowywany do druku VII tom „Studiów” poświęcony jest tematyce ochrony środowiska. Autorami artykułów w części ogólnoteoretycznej są między innymi WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW, ZBIGNIEW SCHNEIDER, EDWARD GAŁIŃSKA. Piszą oni o międzynarodowych aspektach ochrony środowiska i zdrowia społecznego człowieka, o lasach i ich znaczeniu w dobie cywilizacji przemysłowej, wpływie zanieczyszczeń środowiska na rozprzestrzenianie się smogów samochodowych, diagnozę środowiska regionu przemysłowego jako punkcie wyjściowym do prognozy ich rozwoju.

W części dotyczącej badań nad ekonomiką województwa katowickiego omawiane są następujące problemy: regionalna specyfika zarobków środowiska przyrodniczego obszaru województwa, czynniki zagrożenia zdrowia mieszkańców regionu przemysłowych, sieć i jakoś środowiska zanieczyszczenia atmosfery w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym.

Tom ten porusza także również problematykę infrastruktury społecznej i produkcyjnej.

Należy podkreślić, że do współpracy przy opracowaniu części teoretycznej „Studiów nad ekonomiką regionu” zapraszani są najwybitniejsi znawcy problematyki regionalnej w kraju. W opracowaniu dotychczas opublikowanych tomów wzięło udział wielu znanych naukowców reprezentujących ośrodki Warszawy, Krakowa, Wrocławia i inne.

AJENCI SPRAWIEDLIWOŚCI

ERNEST SKALSKI

KOMORNICY ostatnio nie mają coś dobrej prasy. Na co dzień jest o nich cicho, a jak już publicznie przypominają sobie o ich istnieniu, to stało się to w związku z nowo wprowadzonym funduszem alimentacyjnym. Część komorników przy tej okazji co nieco ułatwiła sobie sprawę, komplikując ją zainteresowanym, i na to właśnie zwrócić uwagę, między innymi i w „Życiu Gospodarczym” (nr 9/74).

O komornikach warto jednak powiedzieć więcej, bo rola ich znacznie przekracza zakres spraw związanych ze ściąganiem alimentów od opornych dłużników, a poza tym to ramię sprawiedliwości już wkrótce czekają ważne przeobrażenia.

Komorników mamy wszystkich 539. Przeważnie rewir komorniczy pokrywa się z terenem, dla którego właściwy jest jeden sąd powiatowy — komornik jest jego urzędnikiem. W większych miastach rewirów jest więcej — w Warszawie na przykład 23. Ta mała grupa zawodowa wykonuje zadanie o ogromnej roli społecznej i niebagatelnej ekonomicznej. Dzięki nim właśnie w setkach tysięcy przypadków sprawiedliwość nie zostaje jedynie abstrakcją i siłą moralną, a jest realizowaną w sposób jak najbardziej konkretny. Nawet jeśli nie zawsze udaje się im skutecznie wykonać postanowienia sądu, to i wtedy stwarzają sytuację, w której dłużnik nie może bezkarnie wieszać sobie wyroków na karku. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jakie to ma znaczenie dla porządku społecznego, poszanowania prawa, wychowania społecznego i tak dalej.

W liczbach wygląda to następująco: w ubiegłym roku wpływ spraw do kancelarii komorniczych wyniósł 576 tysięcy, natomiast w toku załatwiania znajdowało się 1139 tysięcy spraw. W przeważającej liczbie spraw zadanie komornika polega na uzyskaniu pieniędzy lub ich równowartości. Czasem chodzi o wydanie przedmiotów, dokonanie ograniczenia własności, niekiedy nawet o wydanie dziecka zgodnie z decyzją sądu. Klientami komorników są jednostki gospodarki społecznej — uzyskujące tą drogą swoje należności od nieuspołecznionych płatników oraz organy wymiaru sprawiedliwości ściągające należności sądowe i grzywny. Te dwie grupy spraw stanowią około 75 procent wpływu, co znaczy, że komornicy przeważnie obsługują gospodarkę uspołecznioną i wymiar sprawiedliwości.

Działają też oczywiście w prawnym interesie osób fizycznych, ściągając alimenty i innego rodzaju przysługujące im należności. Sprawy alimentacyjne, o których tyle się ostatnio mówiło, stanowią zaledwie 10-11 procent wpływu, lecz — ponad 27 procent spraw znajdujących się w postępowaniu. Wynika to z ich długotrwałości, w grę bowiem nie wchodzi jednorazowa spłata, lecz rozłożone na wiele lat zobowiązanie.

Stopień skuteczności komorniczej działalności niemożliwy jest do statystycznego ujęcia. Są sprawy, w których egzekucji nie udaje się przeprowadzić nigdy, bo, aby egzekucja była skuteczna, dłużnik musi mieć jakieś mienie, są takie, w których można ją przeprowadzić po jakimś czasie, na jakiś czas, częściowo. Poza tym, daleko nie wszystkie ustanowione przez sądy spłaty i grzywny realizowane są przez komornika — w wielu przypadkach odbywa się to bez jego pomocy. Komornik wkracza tam, gdzie dłużnik okazuje się oporny lub w innych sprawach, jeśli wierzyciel składa wyrok u ko-

mornika. Statystyka sądowa nie daje możliwości uchwycenia proporcji spraw, w których komornik uczestniczy i takich, w których tego czynić nie musi, choć mógłby. Wydaje się zresztą, że dane te nie oddają w pełni roli komorników. Jeśli ogromna ilość ludzi zobowiązanych do tego przez sąd wypełnia przykładnie swe powinności, to na pewno w niemałym stopniu dlatego, że zdają sobie oni sprawę z istnienia i działania komorników, którzy najpewniej i tak wyegzekwowałiby te wyroki z dodatkowymi kosztami dla dłużników. A teraz spojrzmy na działalność komorników od strony czysto finansowej. Otóż w ubiegłym roku wyegzekwowali oni i przekazali wierzycielom bez mała 1,6 miliarda złotych, przy czym sumy te rosły z roku na rok. To, że w roku 1951 komornicy przekazali jedynie 55 milionów o niczym jeszcze nie mówię, bo to było w zupełnie innej rzeczywistości społecznej i gospodarczej. Ale suma zebrana w zeszłym roku była o 9 procent wyższa niż w roku 1973 i o 28 procent wyższa niż w 1970 roku.

I tu zresztą statystyka nie oddaje w pełni roli komorników. W wielu przypadkach, przy wypłatach alimentów polecają oni zakładom pracy przekazywanie na bieżąco pieniędzy zainteresowanym. Jest to zastępstwo komornika, który to spowodował i czuwa nad przebiegiem spłat, lecz nie wykazuje tych sum, a są one znaczne, w swoim obrocie.

Ze społecznego punktu widzenia wykonanie wszelkiego wyroku ma jednakowe znaczenie. Z gospodarczego — dosyć istotne jest i to, że wielką część owego półtora miliarda złotych uzyskuje w tej czy innej postaci — najogólniej mówiąc — państwo. Inna rzecz, że gdy się te należności rozłoży na poszczególne jednostki, to sumy robią się małe i w praktyce często staje się rzeczą bez znaczenia, czy się uzyska należność, czy też urzędową podkładkę, stwierdzającą, że jej nie można uzyskać. Zdarza się nieraz, że instytucja występująca do sądu chce mieć przede wszystkim dowód na to, że zrobiła wszystko, co do niej należy, i nie martwi się nawet, gdy sąd oddalił podmiotowo, bo wtedy nie ma dalszych kłopotów. Skoro zaś dla sprawozdawczych równie dobrze jest stwierdzenie przez komornika, że egzekucja jest bezskuteczna, jak i, pieniądze, instytucja zupełnie się nie przejmie dalszym losom wyroku. Taka postawa odbija się niekorzystnie na efektach, gdyż aktywne współdziałanie wierzyciela z komornikiem jest jednym z czynników wpływających na sprawność jego postępowania.

Komornicy są instytucją, która sama zarabia na siebie. Poza należnościami z mocy wyroku sumami pobieranymi od opornych dłużników dodatkowe opłaty, z czego 40 procent stanowi ich prowizję, ta zaś większość wynagrodzenia. Jeśli by jednak od tych opłat odjąć nie tylko te 40 procent, lecz również pensje komorników i ich praktykantów, to i tak skarbowi państwa zostałyby około 17 milionów złotych. Tak więc to ważne ramię sprawiedliwości pracuje bez żadnych nakładów ze strony państwa, co nie jest rzeczą do pogardzenia.

Komornik ze średnim wykształceniem pobiera pensję w wysokości 1,6-2,5 tysiąca, a z wyższym — 2-3,2 tys. Statystyczny komornik dostawał w ubiegłym roku 2,4 tys. zł, co wskazuje, że więcej w tym gronie jest osób z wykształceniem średnim. Przeciętna prowizja wynosiła 3,3 tys. zł, co razem dawało sumkę dość znośną na tle przeciętnych zarobków.

Przypuszcza się, że przeciętnie komornik może jeszcze zaoszczędzić sobie około tysiąca złotych miesięcznie na kosztach kancelaryjnych, bez uszczerbku dla swej działalności, jeśli włoży więcej wysiłku i lepiej sobie zorganizuje pracę. Bo specyficzną cechą pracy komorniczej jest jej samodzielność. Komornik sam prowadzi swoją kancelarię, sam zatrudnia personel pomocniczy (jeśli zatrudnia), sam decyduje, co, kiedy i jak ma uczynić, oczywiście w zgodzie z licznymi przepisami. Podlega on nadzorowi ze strony właściwego sądu, który sprawuje nad nim okresową kontrolę, i dokąd w ustalonym trybie można składać skargi na działalność komornika, lecz w trakcie wykonywanej pracy nie ma nad sobą zwierzchnika.

Ta samodzielność jest pociągająca dla ludzi energicznych i z inicjatywą, ale nakłada poważną odpowiedzialność i naraża na liczne konflikty, mimo że działa się zgodnie z prawem i w jego imieniu.

Pewne nieuchronne sprzeczności muszą zresztą uwzględnić przepisy. Występują one w interesach praworządności i wierzyciela, ale wszak chronią również jakiś obszar interesów dłużnika, nie pozwalając pozabawiać go podstawowych środków do życia, czy — w przypadku rolników — również środków produkcji, w zrozumieliśmy interesie społecznym. Intencje prawa są tu wyraźne, ale ich realizacja w napiętej atmosferze egzekucji, przy częstych próbach oszustwa, wielkiego nacisku, jest trudna.

Nakłada to na komornika konieczność posiadania bardzo wielu predyspozycji takich, jak: szybka orientacja, zdecydowanie, poczucie rzetelności, a przy tym autorytet, przebijający nawet z postawy i zachowania taki, żeby się liczone z jego decyzją możliwe bez milicyjnych asysty. Przy tym cechy te w tym przypadku nie zaliczają się tylko do pożądanych. Bez nich komornik nie da sobie rady i nie zarobi na swe utrzymanie. No i zdrowie jest ważne, bo komornik jest prawie stale w ruchu i w stanie napięcia. Z kolei warto pamiętać, że ten, kto te wszystkie cechy posiada, jest pracownikiem cennym i pożądanym wszędzie. Należy to więc wiązać pod wagę przy planowaniu wszelkich zmian w systemie pracy komorników.

Jakie istnieją teoretyczne możliwości nadzoru przy dotychczasowym systemie? Otóż komornik mógłby nielegalnie otrzymać dodatkową prowizję od wierzyciela za szybkie i skuteczne wyegzekwowanie jego należności. Teoretycznie jest on i tak zainteresowany w sprawnym załatwieniu sprawy, ale na jedną kancelarię przypadło w zeszłym roku 2114 spraw w toku i 1089 wpływów — praktycznie trzy nowe sprawy dziennie. Sprawy są różne co do swej wagi, sumy należności i perspektyw załatwienia — nie sposób wszystkiemu zajmować się z równą energią i naraz. To właśnie dla niektórych wierzycieli mogłoby stanowić zachętę do podjęcia próby wpływania na komornika, przy pomocy bezprawnych bodźców.

W wymiarze sprawiedliwości wszelkie przestępstwo przeciwko niemu jest wyjątkowo niebezpieczne społecznie i o każde jest za dużo, nawet gdy stanowi niewielki procent, nieuchronny ze względu na ułomność natury ludzkiej, przejawiającą się w każdej zbiorowości, nawet najbardziej wyszelekcjonowanej. Ogólny stan aparatu komorniczego nie budzi jednak żadnych zastrzeżeń pod tym względem i nie chce zapobieżenia nieuczciwościom



Fot. S. ZUBCZEWSKI

leży u podstaw planowej jego reformy.

Ministerstwo Sprawiedliwości dostrzega przede wszystkim przepracowanie komorników. Chodzi nie tylko o ilość spraw, ale i o zakres czynności dokonywanych przez tych urzędników. Poza merytoryczną działalnością każdy z nich jest praktycznie własnym kancelistą i księgowym. W wielu przypadkach ponosząc całkowitą odpowiedzialność za wszystko, nie mają oni zaufania do rzetelności i skrupulatności swego personelu, a w grę wchodzi sprawa poważnej i sumy znacznej, przy czym jeden zle wypełniony przekaz narobić może masę kłopotów. Często też powodowani nie najlepiej pojmowaną oszczędnością wolą czynności pomocnicze wykonywać sami, co może odbijać się niekorzystnie na podstawowych czynnościach egzekucyjnych.

Resort sprawiedliwości ma więc w tej sprawie sprzeczną opinię. Dotychczasowy system organizacji pracy nie jest — jego zdaniem — do utrzymania ze względu na następujące okoliczności:

- skupienie czynności kancelaryjnych biura oraz czynności merytorycznych w jednym ręku, co się odbywa „kosztownymi” czynnościami merytorycznymi;
- trudności w dokonywaniu nadzoru przez prezesów sądów powiatowych;
- dowolność w zakresie organizacji biura, zatrudnienia i szkolenia personelu kancelaryjnego.

Według opinii Ministerstwa Sprawiedliwości komornicy jako organ egzekucyjny wywiązują się ze swych zadań, lecz aparatu temu brakuje sprawnego funkcjonariusza w swym założeniu zapewnić oczekiwaną reformę.

Tak więc ulec ma likwidacji widomy symbol samodzielności komorniczej — jego odrębna kancelaria, która nadawała mu ów trudno uchwytany status przedstawiciela wolnego zawodu, swego rodzaju przedsiębiorcy w służbie sprawiedliwości. Działanie w ramach aparatu sądowego sprawi jednak, że jego rola i autorytet jako funkcjonariusza sprawiedliwości ulegnie wzmocnieniu.

Szczegóły przyszłego statusu komornika nie są jeszcze znane. Na pewno muszą ulec znacznemu uproszczeniu niezwykle drobiazgowo przepisów wykonawczych, czy taksa za poszczególne czynności, wyróżniającą się wyjątkową pedanterią — ale

to niekoniecznie musi mieć związek z przeprowadzką z kancelarii własnych do sądowych. Wynagrodzenie komorników ma być w każdym przypadku nie mniejsze niż obecne, ale to jeszcze mało. Chodzi o to, czy i w jakim stopniu zostanie zachowany związek jego dochodów z wydajnością jego pracy, bo to praktycznie przesądza o skuteczności egzekucji komorniczych. To, że komornik nie będzie miał własnego konta, a posługiwać się będzie sądowym, ułatwi niewątpliwie kontrolę nad jego działalnością nie tyle jednak merytoryczną, ile buchalteryjną.

Wreszcie sprawa aparatu. Jeśli komornik nie dowierzał nieraz rzetelności wynajętych przez siebie ludzi, czy będzie wierzył kancelistom sądowym? Chyba że nie będzie odpowiadał za to, co oni zrobią, ale wtedy i działalność ta będzie gorsza. Treba powiedzieć, że aparat urzędowy sądów przy swoim niedoinwestowaniu i przeciążeniu jest jednym z najsprawniejszych w Polsce, ale czy warto go obciążać dodatkowymi zadaniami, które we własnym zakresie wykonywali komornicy? W końcu można było albo zwiększyć ilość komorników, albo zwiększyć nieco fundusze na ich działalność kancelaryjną i powiększenie personelu.

To, że komornik będzie zarabiał więcej niż jego zwierzchnik — prezes sądu powiatowego urzędujący w tym samym gmachu — nie będzie powodem zawisłości tego drugiego. Co jednak będzie, jeśli urzędniczą pracującą dla komornika otrzyma wyższe wynagrodzenie od swej koleżanki? A jeśli otrzyma takie same, to czy równie skutecznie będzie pracować, jak robiła to specjalnie wynajęta przez komornika siła biurowa?

Takich pytań może być wiele i każda odpowiedź na nie (pozytywna i negatywna) może być jednakowo dobrze uzasadniona. W tych przypadkach decyduje praktyka. W kilku powiatach prowadzi się już eksperymenty, które mają podsunąć rozwiązania całości problemu. Podobno wypadają pomyślnie. Powstała jednak pytanie zasadnicze: czy tam, gdzie coś pracuje w zasadzie dobrze, gdzie nie zanosi się na zasadnicze zmiany warunków i gdzie wymaga się jedynie ulepszenia na bieżąco, warto w ogóle angażować się w daleko idące przemiany zawierające sporą dawkę ryzyka? Zwłaszcza w takiej dziedzinie życia społecznego, która powinna bazować na poczuciu stabilizacji.

orzecznictwo

TERMIN OPRACOWANIA DOKUMENTACJI PRZEZ JEDNOSTKĘ PROJEKTOWANIA

Zakłady Mechaniczne N. złożyły w Biurze Studiów i Projektów Energetycznych, kierującej jednostce projektowania, zamówienie na wykonanie projektu technicznego rurociągu do turbozespołu.

Wspomniane Biuro przyjęło projekt do wykonania i zobowiązało się dostarczyć rachunki robocze pary i wody (część składową projektu technicznego) w IV kwartale 1974 r., ale pod warunkiem przyjęcia tego terminu również przez podwykonawcę, który miał opracować dokumentację rurociągów.

Zakłady Mechaniczne nie godząc się z klauzulą warunkującą terminowe wykonanie projektu od przyjęcia zamówienia przez podwykonawcę, wystąpiły z wnioskiem arbitrażowym o ustalenie obowiązku wykonania przez pozwanego Biura rysunków roboczych rurociągów pary i wody turbozespołu w IV kwartale 1974 r.

Okręgowa Komisja Arbitrażowa ustaliła treść wiążącą strony umowy w brzmieniu zaproponowanym przez powodowe Zakłady. W motywach orzeczenia OKA ustalila, że wykonanie rysunków roboczych w ramach umowy o wykonanie projektu technicznego w IV kwartale 1974 r. jest niezbędne dla zabezpieczenia wykonania zadania inwestycyjnego w planowanym terminie, tj. w II kwartale 1975 r.

Na skutek odwołania Biura Studiów i Projektów sprawa znalazła się w Głównej Komisji Arbitrażowej, która orzeczeniem z dnia 29 października 1974 r. nr IO-8745/74 podtrzymała stanowisko OKA, wypowiadając ze swej strony następujący pogląd prawny:

Rysunki robocze stanowią część składową projektu technicznego.

Kierując jednostką projektowania jest obowiązana opracować i wydać zamawiającemu dokumentację projektową w terminie dostosowanym do terminu realizacji inwestycji.

W uzasadnieniu swego stanowiska GKA zaznaczyła m. in.:

„(...) pozwane Biuro (...) twierdzi, że podstawową przyczyną niemożności wykonania objętych umową prac w żądanym terminie było opóźnienie w dostarczeniu przez powodowe Zakłady danych do projektowania, w związku z czym pozwane Biuro zmuszone było do podleczenia wykonania dokumentacji rurociągów podwykonawcy, który przyjął zlecenie z terminem wykonania w I kwartale 1975 r. Pozwane Biuro utrzymuje, że samo nie posiadało mocy przerobowej z uwagi na liczne prace dla inwestycji objętych uchwałami Prezydium Rządu.

W toku postępowania odwoławczego pozwane Biuro oświadczyło, że jest w stanie wykonać rysunki robocze w terminie do 10.1.1975 r.

Główna Komisja Arbitrażowa nie znalazła podstaw do zmiany zaskarżonego orzeczenia.

Rysunki robocze — stosownie do dyspozycji § 17 ust. 1 pkt. 5 uchwały nr 75 RM z 10.III.1972 r. w sprawie projektowania inwestycji (Monitor Polski nr 23, poz. 133) — stanowią część składową projektu technicznego. Ustalenie terminu wykonania pełnego zakresu projektu technicznego na IV kwartał 1974 r. zapewnia realizację inwestycji w terminie planowanym, tj. w I kwartale 1975 roku.

Ustalenie to jest zgodne z dyspozycją § 9 ogólnych warunków umów o prace projektowe w budownictwie (Monitor Polski 1974 nr 14, poz. 94), który stanowi, że terminy opracowania i wykonania dokumentacji projektowej winny być dostosowane do terminów realizacji inwestycji. Stosownie do postanowień § 6 zarządzenia Ministra Budownictwa i PMB z 8.IV.1974 r. w sprawie ogólnych warunków umów (o.w.u.) o prace projektowe w budownictwie oraz realizację inwestycji budowlanych i o wykonanie remontów budowlanych i inwestycyjnych, wprowadzającego o.w.u., — jednostki gospodarki uspołecznionej, biorące udział w działalności inwestycyjnej, a m. in. jednostki projektowania, obowiązane są do współdziałania w interesie gospodarki narodowej zarówno przy zawarciu umów, jak i w okresie ich wykonywania, na zasadach art. 386 k.c. W ramach obowiązków wynikających z tych przepisów pozwane Biuro winno dołożyć należytej staranności dla wykonania prac projektowych do końca br. dla zagwarantowania wykonania zadania inwestycyjnego w terminie planowanym. Skoro pozwane Biuro przyznaje, że wykonanie tych prac jest realne do 10.1.1975 r. to przy dołożeniu należytej staranności może prace te wykonać w terminie ustalonym przez I instancję.

nowe przepisy i zarządzenia

UCHYLENIE PRZEPISÓW O UMOWACH SPRZEDAŻY I DOSTAW DREWNA

Minister Finansów zarządzeniem z dnia 19 lutego 1975 r. (Monitor Polski nr 7, poz. 41) uchylił moc obowiązującą dotychczasowego za-

DOKOŃCZENIE NA STR. 9

WĘDRUJĄCE PASIEKI



Fot. CAF

CO Z TYM MIODEM? Wiadomo, że pogoda w ubiegłym roku nie sprzyjała pszczelarzom i skutek jest widoczny: niedostatek miodu w sklepach. Ale czy wszystkiemu winna jest pogoda, czy raczej należy sądzić, że produkcja pszczelarska przeżywa głębszy kryzys?

Słabą stroną polskiego pszczelarstwa jest jego rozdrobnienie. Pasieki, w których liczba pni nie przekracza 10, stanowią 84 proc. ogółu. Tylko 2 proc. pasiek, w których jest więcej niż 40 uli, można uznać za zawodowe.

Wielkim zagrożeniem dla pszczół jest chemizacja rolnictwa. Środki owadobójcze używane do ochrony plantacji niszcza nie tylko szkodniki roślin uprawnych, ale są również zagrożeniem dla pszczół. Nie tylko zresztą w Polsce, ale również w innych krajach. Np. w USA z powodu stosowania postycydów ginie rocznie około 500 tys. rojów. Środki chwastobójcze — herbicydy niszcza wiele chwastów, z których pszczóły pobierają nektar, zmniejszając w ten sposób możliwości produkcyjne. Specjaliści oceniają, że miod staje się artykułem deficytowym na rynkach światowych, co oczywiście powoduje także podwyżkę cen w handlu zagranicznym.

Sposobem przeciwdziałania tym negatywnym zjawiskom w środowisku naturalnym jest stosowanie wędrownego gospodarki pasiecznej. Praktykuje się ją przede wszystkim

w większych towarowych pasiekach. Ule dowozi się do okolic, gdzie kwitną miododajne rośliny takie, jak: rzepak, lucerna, koniczyzna, wrzoś, a także do lasów. Z badań Instytutu Sadownictwa wynika, że odczuwalną poprawę dostaw miodu na rynek można by uzyskać, gdyby przynajmniej jedną czwartą ogółu pni objął gospodarką wędrowną. W Polsce, jak wiadomo, mamy około 1,4 mln pni. Wędrowną gospodarką pasieczną jest stosowana np. na Węgrzech, gdzie co roku przewozi się około 300 tys. pni, i w Rumunii — około 600 tys.

Taki system jest korzystny nie tylko dla pszczelarzy. Stosowanie środków chemicznych spowodowało, że wyginęły liczne gatunki owadów, które dotychczas zapylały rośliny uprawne i sady. Dziś funkcję tę w 80 proc. spełniają pszczóły. A zatem intensyfikacja pszczelarstwa jest także w interesie rolników. Z badań naukowych wynika, że wartość uzyskanego, dzięki zapylaniu roślin przez pszczóły, wzrostu plonów wielokrotnie przewyższa wartość produkcji miodu i wosku. Dlatego w wielu krajach np. w NRD, Czechosłowacji, USA rolnicy ubiegają się o ustawienie pasiek na dużych plantacjach roślin i w sadach.

Oczywiście, zbierając te korzyści, dbać trzeba również o ochronę pszczół przed zatruciem. Chodzi przede wszystkim o właściwe, zgodne z zaleceniami wykonywanie zabiegów fitosanitarnych (m. in. wy-

starczy przecieć w porę zawiadomień pszczelarzy o stosowaniu zabiegów) i o doskonalenie metod zwalczania szkodników roślin. Równocześnie jednak pod adresem producentów środków ochrony roślin, zgłaszane są postulaty, aby produkować i upowszechniać stosowanie środków chemicznych selektywnych, niegroźnych dla owadów pożytecznych.

Program rozwoju pszczelarstwa w Polsce do 1980 r. przygotowany przez spółdzielczość ogrodniczą zakłada, że zgodnie z istniejącymi warunkami naturalnymi można podwoić produkcję miodu. Oczywiście, aby to nastąpiło muszą być spełnione liczne warunki. Należy do nich m. in. poprawa stanu zdrowotnego pszczół przez zorganizowanie stałej opieki weterynaryjnej i kontroli sanitarniej pasiek. Pszczelarze potrzebują lepszego sprzętu i doradztwa fachowego.

Pomyślne wyniki przyniosł, kontynuowany od kilku lat, import pszczół kaukaskich. Pszczóły te, lepiej niż krajowe wykorzystują pożytki, zbierają nektar z kwiatów omijanych przez inne pszczóły. Koniczyzna czerwona, siana w pobliżu pasiek z pszczołami kaukaskimi, dawała wyższe plony. Podobne wartości pszczoły uzyskiwano w wyniku krzyżowania ras polskich z kaukaskimi. Jak z tego wynika, prace hodowlane stanowią również ważny czynnik podniesienia wartości użytkowej pasiek.

MAK

nowe przepisy i zarządzenia

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

zarządzenia Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego z dnia 24 kwietnia 1967 r. w sprawie ogólnych warunków umów sprzedaży oraz umów dostaw drewna i wyrobów z drewna w obrocie krajowym pomiędzy jednostkami gospodarki uspołecznionej (Monitor Polski z 1967 r. Nr 27, poz. 124 z późniejszymi zmianami).

Powyższe uchylene nastąpi z dniem 1 kwietnia 1975 r.

Do umów zawartych przed tą datą będą mieć w zasadzie zastosowanie przepisy dotychczasowe z ograniczeniami przewidzianymi w zarządzeniu Ministra Finansów.

ODZNAKA „ZA ZASŁUGI DLA ROZWOJU PRZEMYSŁU MASZYNOWEGO”

Minister Przemysłu Maszynowego zarządzeniem z dnia 20 lutego 1975 r. (Monitor Polski Nr 7, poz. 42) ustalił zarówno wzór powyższej odznaki, jak też zasady i tryb jej nadawania.

DZIAŁALNOŚĆ DOŚWIADCZALNA

Rada Ministrów uchwałą nr 27 z dnia 7 lutego 1975 r. (Monitor Polski Nr 8, poz. 43) unormowała zasady prowadzenia badań i działalności doświadczalnej w różnych dziedzinach gospodarki.

Uchwała przewiduje m. in. tworzenie przedsiębiorstw doświadczalno-produkcyjnych, których przeznaczeniem będzie opanowanie i rozwój nowych technologii i produkcji w nowych dziedzinach.

Nowa uchwała uchyla dotychczasową uchwałę nr 18 Rady Ministrów z dnia 27 stycznia 1965 r. w sprawie tworzenia, organizacji i finansowania wyodrębnionych zakładów i przedsiębiorstw doświadczalnych dla potrzeb gospodarki narodowej (Monitor Polski z 1970 r. Nr 15, poz. 131).

PRODUKCJA MATERIAŁÓW BUDOWLANYCH Z SUROWCÓW MIEJSCOWYCH

Ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 14 lutego 1975 r. w sprawie wyłączenia produkcji materiałów budowlanych z surowców miejscowych wykonywanej przez niektóre zespoły spód działania przepisów ustawy o wykonywaniu i organizacji rzemiosła (Dz.U. Nr 7, poz. 36).

W myśl tego rozporządzenia, do działalności gospodarczej polegającej na produkcji materiałów budowlanych z surowców miejscowych, wykonywanej przez zespoły osób fizycznych przede wszystkim na własne potrzeby, nie stosuje się warunków przewidzianych w przepisach o wykonywaniu i organizacji rzemiosła.

Zasady tworzenia i organizacji wspomnianych zespołów osób fizycznych określa Minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Minister ten ustalić może również zakres i zasady zbywania nadwyżek materiałów budowlanych, powstałych w toku działalności zespołów.

USŁUGI HOTELARSKIE JEDNOSTEK GOSPODARKI NIEUSPOŁECZNIONEJ

Prezes Rady Ministrów wycał rozporządzenie z dnia 27 lutego 1975 r. w sprawie wykonywania usług hotelarskich przez jednostki gospodarki nieuspołecznionej (Dz.U. nr 7, poz. 37).

Rozporządzenie określa szczegółowo zasady wydawania uprawnień na wykonywanie przez jednostki gospodarki nieuspołecznionej usług hotelarskich, wypadki zwolnień od obowiązku uzyskania uprawnień, zasady wykonywania usług hotelarskich i kwalifikacje niezbędne do wykonywania takich usług.

Usługami hotelarskimi w rozumieniu rozporządzenia są usługi polegające na wynajmowaniu turystom umebowanych pomieszczeń mieszkalnych lub miejsc pod ustawienie namiotów albo samochodowych przyczep mieszkalnych oraz usługi z tym związane.

Nie wymaga jednak uzyskania uprawnień wynajmowanie:

- 1) pokoi gościnnych oraz miejsc w obozowiskach turystycznych za pośrednictwem biura zakwaterowania,
- 2) miejsc w pokojach gościnnych, domkach campingowych oraz obozowiskach turystycznych w miejscowościach i w ilości określonych przez terenowy organ administracji państwowej właściwy do wydania uprawnień po zasięgnięciu opinii właściwego organu Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

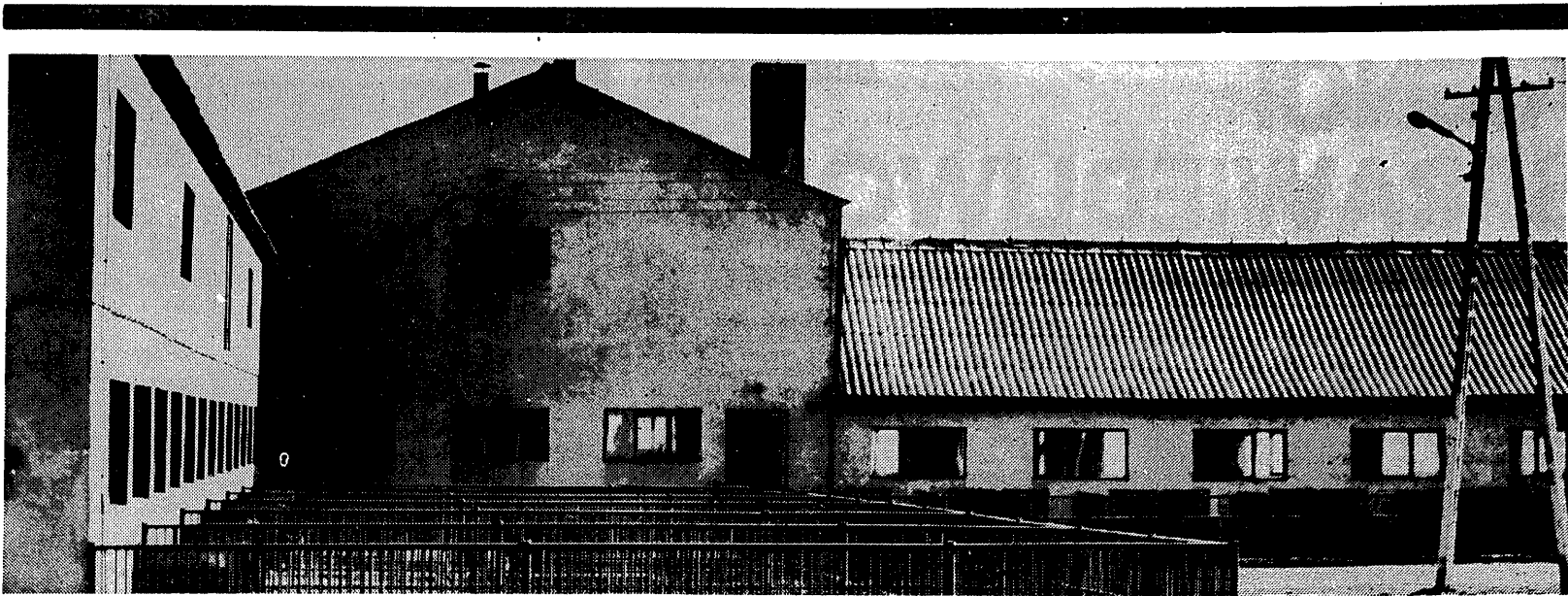
GOSPODAROWANIE BURSZTYNEM I WYROBAMI Z BURSZTYNU

Rozporządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług z dnia 24 lutego 1975 r. w sprawie gospodarowania bursztynem i wyrobami z bursztynu (Dz.U. Nr 7, poz. 40) reguluje: wydobycie, skun, zbyty obróbkę i przeróbkę bursztynu oraz zbyty wyrobów wykonanych w całości lub w części z bursztynu.

Do wydobycia bursztynu są uprawnione na prawach wyłączności przedsiębiorstwa wyznaczone przez Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług.

Wydobyty bursztyn podlega zbyto- wi na rzecz Przedsiębiorstwa Państwowego „Jubiler” w Sopocie.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA



Fot. S. OSSOWSKI

MODERNIZACJA BUDYNKÓW ROLNICZYCH

JAN LENARD

WZROST ZAPOTRZEBOWANIA NA ŻYWNOSĆ, zarówno na rynku wewnętrznym jak też na rynkach światowych, wymaga podniesienia wydajności rolniczych środków produkcji. Z tego wynika m. in. potrzeba aktywniejszego włączenia się nauki do określenia kierunków rozwoju rolnictwa, zmniejszenia kapitałochłonności przyrostu produkcji i obniżki kosztów wytwarzania.

Wyniki prac badawczych, a także wnioski z praktyki rolniczej wskazują na konieczność zwrócenia większej uwagi na budynki inwentarskie, kształtowane stosownie do charakteru, rozmiaru i niezbędnej jakości produkcji zwierzęcej oraz na związki między budynkiem, jego wyposażeniem i stopniem mechanizacji, a efektami wytwarzania.

Nowe zasady organizacji produkcji rolniczej po drugiej wojnie światowej oparte były na odmiennym układzie stosunków społeczno-ekonomicznych wsi, jednak w zakresie budownictwa bazowały na dawnej zabudowie folwarcznej, tradycyjnej zarówno w układzie przestrzennym gospodarstwa, jak też w architekturze poszczególnych budynków. Nowo wznieszone obiekty najczęściej nie odbiegały od wzorców XIX-wiecznych, a niekiedy nawet nieudolnie naśladowały obce formy przestrzenne, powstałe przecież w wyniku odmiennych warunków gospodarczych, społecznych i klimatycznych. Do naszych rolników docierały z krajów rozwijających się w nowych warunkach społeczno-ekonomicznych postępowe idee, które pod obcą mianierą architektoniczną kryły w sobie interesujące rozwiązania funkcjonalne.

NOWE TECHNOLOGIE

W końcu lat pięćdziesiątych zaczęły do nas przenikać nowe założenia technologiczne, oparte na zasadach produkcji wielkotowarowej, zapewniającej lepsze wyniki wytwarzania, ale wymagającej przy tym nowych rozwiązań budowlanych dla sprawnego przebiegu procesów produkcyjnych wraz ze stosowaniem maszyn i urządzeń zastępujących pracę ludzką, a przede wszystkim zmniejszających jej uciążliwość. Powstały zatem warunki rozwoju nowych rozwiązań konstrukcyjnych i technik budowlanych.

Wprowadzenie obowiązującej siatki modularnej opartej na wymogach przestrzennych wówczas stosowanej technologii i organizacji pracy pozwoliło na unifikowanie konstrukcji. Producent materiałów budowlanych i przedsiębiorca uzyskał sprzyjające warunki działalności. Przemysł budowlany nastawiony na produkcję materiałów i elementów prefabrykowanych, zamawianych na potrzeby innych działów budownictwa, narzucił budownictwu rolniczemu rozwiązania konstrukcyjne i materiałowe obce ekonomice i technologii budynków inwentarskich. Nowe ciężkie konstrukcje nie tylko nie odpowiadały potrzebom produkcji zwierzęcej, ale wręcz przeciwnie stawiały jej wymogom technologicznym i ekonomicznym, są nadmiernie trwałe i niepodatne do adaptacji na zmienne cele użytkowe.

Przyjęta modularność konstrukcyjna, z uporem godnym lepszej sprawy bezwzględnie przestrzegana od lat ostatnich, nie zawsze daje się użyć w prawidłowo pomyślanych rozwiązaniach technologiczno-przestrzennych, których kształt i wielkość dyktuje zmienny moduł użytkowy oraz postęp w mechanizacji procesów i systemów wytwarzania.

W wyniku tego, do niedawna w pełni, ale częściowo jeszcze i obecnie wznoszone budynki nie odpowiadają wymaganiom rolników, nie zapewniają zwierzętom niezbędnych warunków środowiskowych i utrudniają wprowadzenie dobrej organizacji produkcji. Architektura wiejska, która na

przeźreni minionych wieków była przestrzennym wyrazem wymagań produkcyjnych zwierząt, człowieka, materiałów i produktów, zatraciła swoją istotę. Technologia w produkcji zwierzęcej rozwija się dynamicznie i w coraz większym stopniu korzysta z doświadczeń i wzorców stosowanych w toku produkcji przemysłowej.

Przełomem stało się uruchomienie, w latach 1970-73, kilkudziesięciu wielkotowarowych ferm tuczu trzody chlewnej, bydła, drobiu oraz wielu dużych szklarni do produkcji warzyw. Przemysłowa technologia tuczu uznana została za model produkcji w wielkoośrodkowych gospodarstwach rolnych. Nowe wzory technologiczne stają się siłą napędową przemian zachodzących w uspołecznionych gospodarstwach rolnych, co ma zasadnicze znaczenie dla dalszego rozwoju budownictwa rolniczego i kierunku modernizacji istniejących budynków. Uspołecznione gospodarstwa rolne w szybkim tempie wkraczają na drogę uprzemysłowienia metod wytwarzania, z czym wiąże się konieczność przystosowania przemysłu maszyn i urządzeń do kompletnych linii technologicznych w produkcji zwierzęcej. Następstwem tego stanu rzeczy jest proces koncentracji środków produkcji i specjalizacji poszczególnych gospodarstw.

Nowe, równie doniosłe zjawiska wystąpiły w technologii i organizacji pracy gospodarstw indywidualnych. Charakterystycznymi elementami tych nowych zjawisk są:

- powiększanie arealów gospodarstw, specjalizacja produkcji, a także
- organizacja zespołów maszynowych, uprawowych i hodowlanych oraz rozwijające się różne formy kooperacji rynkowej i techniczno-produkcyjnej między gospodarstwami państwowymi, spółdzielczymi i indywidualnymi.

DOSTOSOWAĆ DO POTRZEB

Specjalizacja gospodarstw i dalsze zwiększanie koncentracji zwierząt wymaga przystosowania budynków do nowych potrzeb. Ponieważ zabieg ten nie jest łatwy, stary budynek staje się hamulcem postępu w rolnictwie, narzuca bowiem z reguły rozwiązania kompromisowe między potrzebami nowoczesności, a możliwościami stwarzanymi przez gabaryty i konstrukcję obiektu.

W polskim gospodarstwie wiejskim na skutek rozwoju metod produkcji doszło w rekordowo krótkim czasie do wzrostu rozeźnienia pomiędzy wymaganiami rozwijającej się technologii, a zachowawczą, anachroniczną formą budowlaną. Większość naszych obiektów budowlanych w gospodarstwach wielkotowarowych jest połączeniem wielkoprodukcyjnych założeń i drobnoprodukcyjnej eksploatacji.

Chaos materiałowo-konstrukcyjny realizacji dawnych, przypadkowe związki układów funkcjonalnych budynków z siecią ciągów produkcyjnych w gospodarstwach powodują przedwczesne ekonomiczne zużycie zasobów budowlanych, a w efekcie poważne straty materialne. Program i wymagania użytkowe, ulegając częstym fluktuacjom, ze względu na potrzeby rynku, zmieniają się wielokrotnie szybciej niż następuje zniszczenie techniczne budynku. Zmiany systemu chowu, a także zużycie wyposażenia technicznego budynków następują w coraz szybszym rytmie. W równie wysokim tempie zmienia się zakres wiedzy zootechnicznej. Stąd też modernizacja budynków jest zjawiskiem stałym, koniecznym do przewidywania już w trakcie budowy nowego obiektu.

Potrzeby inwestycyjne określone przez plany gospodarcze przerastają stosowane dotychczas środki techniki. Istnieje obiektywna możliwość udoskonalenia tych środków, rozszerzenia ich zakresu tak, aby mogły

one sprostać zadaniom postawionym przez rolnictwo. Należy się jednak poważnie liczyć z faktem, że następne zadania wymagać będą również znacznego przyspieszenia procesu inwestycyjnego, a jednym ze środków przyspieszenia pozostanie nadal modernizacja obiektów i ich wyposażenia technologicznego.

WARTOŚĆ UŻYTKOWA BUDYNKÓW

O rozmiarze potrzeb modernizacyjnych świadczy obecny stan techniczny i wartość użytkowa budynków. Obiekty inwentarskie wybudowane w ostatnim pięćleciu stanowią w uspołecznionych gospodarstwach 20 proc., a w indywidualnych zaledwie 10 proc. stanu posiadania. Odbierają część produkcji zwierzęcej odbywa się w obiektach starych, niefunkcjonalnych, które wymagają modernizacji budowli, a przede wszystkim wprowadzenia nowego wyposażenia technologicznego.

Szczegółne zaniedbania występują w budownictwie indywidualnym zarówno w tym starym, jak i wznoszonym obecnie. Skale potrzeb inwestycyjnych podwyższa ponadto fakt, że budynki nowe w większości mają wadliwy układ funkcjonalny, powodujący konieczność znacznej przebudowy obiektu przy każdej próbie wprowadzenia prostych mechanizmów ułatwiających obsługę zwierząt.

Badania sondażowe dotyczące przydatności użytkowej nowo wznoszonych obiektów inwentarskich w 10 gminach przodujących w chowie zwierząt i reprezentujących różne rejonu kraju ujawniły, że zaledwie 10 proc. z nich miało wydzielone korytarze gnojowe i paszowe, 32 proc. załozoną instalację wodociagową, 42 proc. doprowadzoną energię elektryczną umożliwiającą instalację silników, a 3 proc. obór wyposażono w dojarki elektryczne. Uwagę zwraca również fakt, że 56 proc. w badanej reprezentacji około 400 budynków, ma ściany o nieodpowiedniej cieplonośności, a sprawnych urządzeń wentylacji grawitacyjnej łatwo dostępnej, nie nasuwającej trudności wykonawstwa, pozbawionych jest 53 proc. budynków. Dowodzi to jak powoli przebiega proces zmian w poglądach na najistotniejsze kwestie mikroklimatu wewnątrz, jak z trudem daje się przełamać konserwatywizm wielu rolników. Istnieją zatem bariery postępu technicznego zarówno w sferze materialnej, jak i pozamaterialnej.

Do głównych wad budynków należą:

- nieodpowiednie dla zwierząt warunki środowiskowe, obniżające efekty produkcyjne na skutek zbyt niskiej cieplonośności ścian, braku sprawnych urządzeń wentylacyjnych, niewłaściwego oświetlenia i nasłonecznienia wewnątrz oraz zbyt małej obsady inwentarza w budynku,
- nieekonomiczne wykorzystanie przestrzeni obudowanej na skutek nieodpowiednich gabarytów obiektów, wadliwego układu funkcjonalnego i braku urządzeń ułatwiających czynności obsługi,
- anachroniczny układ ciągów technologicznych, hamujący wprowadzenie prostej mechanizacji transportu i ułatwień w przemieszczaniu mas produktów, zgodnie z przebiegiem procesu wytwarzania,
- brak podstawowego wyposażenia technologicznego umożliwiającego wprowadzenie nowoczesnych form produkcji,
- niedostatek budowli i urządzeń technologicznych umożliwiających sprawę mieszkań, szczególnie w gospodarstwach zagrodowych. Wodociąg jest w 7,5 proc. domów, wewnętrzny usterk aplukiwany w 2,3 proc., a stałe urządzenia kapielowe

i centralne ogrzewanie w 3,2 proc. mieszkań. Dom rolnika, jego standard wyposażenia instalacyjnego, podobnie jak budynku gospodarczego, jest ważnym elementem rozwoju produkcji indywidualnych gospodarstw rolnych.

KIERUNKI MODERNIZACJI

Porównanie stanu istniejącego ze współczesnymi wymaganiami, wynikającymi z technologii produkcji, pozwala określić główne kierunki modernizacji. Należą do nich:

- poprawa warunków środowiskowych chowu zwierząt,
- uproszczenie układu funkcjonalnego obiektów i ich zespołów, w celu wprowadzenia ułatwień w organizacji pracy,
- montaż urządzeń technologicznych usprawniających przebieg procesów produkcji w chowie zwierząt;
- podniesienie warunków sanitarnych, higienicznych i bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

Zasadą wiodącą dla kierunków i zakresu modernizacji jest podporządkowanie przestrzennego układu zabudowy i urządzeń wewnątrz poszczególnych budynków wymogom współczesnej technologii i organizacji pracy. Wynikają stąd preferencje wkładów liniowych z podziałem na strefy o jednorodnej funkcji. Kompleksowo prowadzony rachunek ekonomiczny dla zamierzeń modernizacyjnych ma również podstawowe znaczenie. Pozwala to na ograniczenie nakładów inwestycyjnych, szybkie uruchomienie efektywnej produkcji, uzyskanie sprzyjających warunków wytwarzania, niewielkie zużycie deficytowych materiałów budowlanych i potencjału wykonawczego oraz poprawę zarówno warunków pracy, jak i mieszkań rolników.

Nie bez znaczenia jest również wykorzystanie rezerw powierzchni produkcyjnej w wielu starych budynkach. Nowe technologie przewidują znacznie większe zagęszczenie zwierząt, intensywniejsze wykorzystanie każdego metra powierzchni produkcyjnej, wzrost efektów użytkowych. Jak dowodzi praktyka, w wyniku prac modernizacyjnych, dotyczących układu funkcjonalnego budynków, w wielu obiektach można zwiększyć obsadę zwierząt niekiedy nawet o 30 proc. W globalnym rachunku modernizacja starych budynków, poza innymi korzyściami, przyniesie może poważne zwiększenie liczby stanowisk dla bydła i trzody. Zwykle korzyści te warunkowane są łączeniem zabiegów montażowych i budowlanych ze zmianą systemu chowu zwierząt.

Realizacja zadań modernizacyjnych wymaga jednak znacznego zwiększenia dostaw materiałów budowlanych na wieś, zwiększenia potencjału wykonawczego robót remontowo-budowlanych i instalacyjnych, a przede wszystkim uruchomienia przemysłowej produkcji urządzeń technologicznych.

Na podstawie różnych rozwiązań organizacji pracy przy obudzie zwierząt stwierdzono, że powierzchnia i kubatura niezbędnych budynków magazynowych maleje proporcjonalnie do wzrostu stopnia mechanizacji zbioru i transportu pasz, osiągając wartości czterokrotnie mniejsze niż niezbędne przy technologiach tradycyjnych. Zastosowanie stacjonarnych przenośników żłobowych umożliwia zmniejszenie kubatury budynków w niektórych przypadkach nawet o 30 proc. Najistotniejsze jest to, że przenośniki takie pozwalają na racjonalne wykorzystanie do chowu zwierząt budynków wąskich. Stare budynki, przystosowane dawniej w swych gabarytach do transportu ręcznego, w większości są zbyt wąskie dla wprowadzenia transportu opartego na środkach mobilnych. Urządzenia żłobowe lub przenośniki nadżłobowe to jedyna szansa racjonalnego użytkowania wielu starych obiektów. W

skali krajowej szacuje się, że przyniosłoby to znaczne oszczędności w nakładach inwestycyjnych, wyrażonych w setkach metrów sześciennych rocznie.

Powszechnie znany fakt zwiększenia liczby materiałów budowlanych kierowanych na wieś nie likwiduje jednak dystansu między potrzebami a zaopatrzeniem. Napięcie na rynku materiałów budowlanych przybiera na sile wobec gwałtownie zwiększających się potrzeb. Możliwość złagodzenia tych napięć kryje się między innymi w dystrybucji. Ujawnia się niedowład organizacyjny w zaopatrzeniu głównie w materiały instalacyjne. Dostawy są niekompletne. Zarówno zaopatrzeniowcy państwowych brygad remontowo-budowlanych, jak i rolnicy indywidualni tracą wiele energii i czasu na zdobycie kompletnych niezbędnych materiałów. Tworzy to atmosferę gorączkowych zakupów na zapas wstępnego, co w danej chwili jest dostępne.

Rolnik we własnym zakresie może wyprodukować pustaki betonowe, uformować i wypalić cegły, jeśli oczywiście zezwoli na to przepisy finansowe, ale nie jest on w stanie prowadzić pełnej gospodarki samowystarczalnej i produkować złączki instalacyjne, zawory czy też inne urządzenia i mechanizmy. Nie ma więc innego rozwiązania jak efektywniejsze współdziałanie z rolnictwem różnych resortów gospodarczych.

DORADZTWO BUDOWLANE

Niemniej istotną kwestię stanowią kadry, które mają realizować wzrastające zadania w dziedzinie modernizacji obiektów rolniczych.

Nawet w przypadku obiektów gospodarki wielkotowarowej moc przerobowa specjalistycznych biur projektowych jest niewystarczająca. Powszechnie występuje brak fachowców w dziedzinie budownictwa rolniczego, a przede wszystkim technologów. Poszczególne gospodarstwa wielobieżne organizują często dla własnych potrzeb pracownię projektową, ale niejednokrotnie stojące przed nimi zadania znacznie przewyższają umiejętności zatrudnionej tam kadry.

W służbie poradnictwa fachowego dla rolników indywidualnych, zespołów producenckich i spółdzielni kółek rolniczych, stan przygotowania zawodowego pracowników także nie jest najlepszy. Ludzie ci borykając się z trudnościami szukają pomocy w uczelniach macierzystych i literaturze, która ze względu na wydłużony cykl druku z rzadka nadąża za zmianami w wyniku rozwoju nauki.

Resort rolnictwa jak dotąd nie przejawiał większego zainteresowania dokształcaniem swych pracowników na studiach podyplomowych. A przecież główny ciężar prac modernizacyjnych w gospodarstwach rolnych spoczywać będzie na pracownikach rolnictwa. Jedynemu w kraju podyplomowemu studium technologii budownictwa rolniczego w Akademii Rolniczej w Warszawie grozi likwidacja. Po trzech latach owocnego działania i kształcenia na koszt uczelni pracowników biur projektów i licznych inspektorów doradztwa fachowego z Rejonowych Rolniczych Zakładów Doświadczalnych, trzeba działalności najbardziej efektywnego kształcenia przerwać, gdyż brak środków w wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych w skali rocznej.

Wynika to przede wszystkim z niedostrzegania roli, jaką odegrać może w działalności inwestycyjnej przygotowanie zawodowe i możliwość bezpośredniej weryfikacji swoich poglądów z najbardziej postępowymi zasadami określonymi przez naukę. Uważam, że nie stać nas na to, by świadomie dopuszczać do niegospodarności. A racjonalizacja zadań modernizacyjnych przez ludzi nieprzygotowanych merytorycznie niebezpieczeństwo takie potęguje.

GORZYCE ZAROBILI NA AWANS

ANTONI KRASZEWSKI

Z PRZYKŁADU, który tu przedstawiamy nie wynika, aby we właściwym czasie pomyślano o przeobrażeniu wsi w miasto. Wszyscy obserwują dynamiczną rozbudowę zakładu, przyglądają się jego rozwojowi, krytykują gdy coś nie wychodzi, ale rozwój środowiska milcząco pozostawia się przemysłowi. Z tego rozumowania wynika, że skoro przemysł rozwija się tak dynamicznie, to niech również przemysł sam sobie radzi z kłopotami nieprzemysłowymi.

I przemysł boryka się z tymi kłopotami. Chwyta się każdego sposobu, kołacząc z każdym drzewem, aby zalać stale rosnące potrzeby związane z rozwojem zakładu. Ale czy można odsunąć na bok pytanie zasadnicze: Jak przeobrazić wieś w miasto?

ŻYCIORYS GORZYC

Do 1936 roku Gorzyce były nikomu nieznaną wsią. Położone w widłach Wisły i Sanu liczyły wówczas ok. 250 mieszkańców, trudniących się wyłącznie rolnictwem. W 1937 roku w ramach budowy Centralnego Ośrodka Przemysłowego prywatna spółka E. Mieszczański i T. Jaroński otrzymuje koncesję na budowę „Zakładów Metalurgicznych w Gorzycach”. W tymże roku powstaje na bazie adaptowanej dokumentacji dworca kolejowego w Warszawie budynek produkcyjny, a w 1938 roku rusza produkcja drobnych odlewów z metali kolorowych dla potrzeb produkcji wojskowej. Zakład zatrudnia ok. 480 pracowników.

Powstają dwa jednorodzinne budynki mieszkalne. Pracownicy fabryki rekrutują się przeważnie z mieszkańców okolicznych wsi przyuczonych do zawodu, zaś nadzór maiterski mieszka „katem” we wsi Gorzyce.

W latach wojny administrację zakładu przejmuje okupant, który zatrudnia ok. 100 pracowników. Produkuje się tam odlewy z metali kolorowych dla celów wojskowych oraz drobny sprzęt gospodarczy. Po wyzwoleniu rozszabrowany przez okupanta i częściowo zniszczony zakład stoi początkowo nieczynny. W 1948 roku zostaje on przejęty na własność państwa i jako oddział metalurgiczny stanowi filię Polskich Zakładów Lotniczych w Rzeszowie. Produkuje się tu odlewy żeliwne oraz odkuwki i odlewy z metali kolorowych. Zatrudnienie w tym czasie nie przekracza 300 pracowników. I taki stan trwa od 1950 roku.

Z dniem 1 stycznia 1951 roku minister przemysłu ciężkiego powołał samodzielną przedsiębiorstwo pod nazwą „Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Gorzycach”. Następuje stopniowy rozwój zakładu. Do 1965 roku załoga wzrasta do 450 pracowników. W tym czasie wybudowano dwa bloki mieszkalne dla 45 rodzin, poprawiając nieco warunki socjalno-bytowe załogi. W dalszym ciągu produkcja zakładu nie była wyprofilowana, a załoga rekrutowała się przeważnie z mieszkańców okolicznych wsi przyuczonych do zawodu jedynie w warunkach warsztatowych.

Zdecydowany zwrot w sytuacji zakładu następuje w 1966 roku. Zapa-

da mianowicie wówczas decyzja w sprawie wyspecjalizowania zakładu. W ślad za tymi postanowieniami następuje modernizacja i intensywna rozbudowa zakładu. W 1970 roku decyzją prezesa RM uruchomione zostaje zadanie inwestycyjne pn. „Rozbudowa i modernizacja zakładu”, które realizowane jest etapami do 1972 roku. W tych trzech latach wartość inwestycji produkcyjnych wyniosła ponad 300 milionów złotych, przyrost produkcji ponad 370 mln, a zatrudnienie wzrosło o 1100 osób. W latach 1972—1974 trwa nadal rozbudowa. W Gorzycach realizowane jest priorytetowe zadanie inwestycyjne pod nazwą „Tłoki i sworznie tokowe”. Po jego zakończeniu następuje dalszy wzrost produkcji o ok. 900 mln zł. Jednocześnie wzrasta o ok. 1400 osób zatrudnienie. W rezultacie wartość produkcji w 1974 roku w porównaniu do 1970 roku wzrasta o 244 proc., a zatrudnienie o 181,4 proc. i wynosi na koniec 1974 roku ponad 3000 osób.

W planach na lata 1974—1980 przewiduje się dalszą rozbudowę ośrodka, wzrost produkcji o dalsze 330,6 proc. (w stosunku do 1974 r.) i zatrudnienia o 180 proc. (W 1980 roku zakład zatrudniać będzie już ok. 5200 osób). Zakład staje się „monopolistą” tłoków i sworzni tokowych do wszystkich silników spalinowych w kraju, a część z nich eksportuje również do wysoko rozwiniętych krajów Europy (np. Anglia — Leyland).

Za dynamiczną rozbudowę bazy produkcyjnej niewspółmiernie powoli następowała rozbudowa zaplecza mieszkaniowego. W latach od 1966—1974 w Gorzycach wybudowano w ramach resortowego budownictwa mieszkaniowego (przy nieznacznych dotacjach rad narodowych) 90 mieszkań i pawilon gastronomiczno-handlowy.

Począwszy od 1972 roku budownictwo mieszkaniowe przejmuje Powiatowa Spółdzielnia Mieszkaniowa w Tarnobrzegu, która ze środków przekazanych przez MPiM do 1975 roku ma wybudować 5 bloków mieszkalnych po 72 mieszkania. Trzy z nich już przekazano, a dwa mogą być oddane do użytku jeszcze w br. Na koniec 1975 roku zakład będzie dysponować ok. 500 mieszkaniami na ponad 3000 pracowników.

W latach 1972—1974 wybudowano Zespół Szkół Technicznych z warsztatami na 350 uczniów, stołową zakładową na 800 posiłków dziennie, hotel robotniczy na 100 miejsc, adaptowano dwa prywatne budynki na przedszkole (60 miejsc), a obecnie buduje się obiekt przeznaczony na klub fabryczny.

PERSPEKTYWA I RZECZYWISTOŚĆ

W taki sposób w Gorzycach powstał nowoczesny zakład produkcyjny wyposażony w maszyny sprowadzone z RFN, Japonii i Austrii. Zatrudniona już rozbudowa zakładu i przewidywany wzrost zatrudnienia o ok. 1400 osób wymagają ciągłego naboru fachowców. Do obsługi nowoczesnych linii automatycznych nie wystarczy już przyuczony do zawodu robotnik. Wymagają one obsługi przez fachowców określonych specjalności, inżynierów i techników różnych branż. Niezbędne jest ciągłe szkolenie robotników. W 1980 roku zakład ma zatrudniać ok. 1040 pracowników inżynieryjno-technicznych.

Tymczasem Gorzyce są nadal wsią z niewielkim, przyzakładowym osiedlem mieszkaniowym, oddaloną od najbliższego miasta — Sandomierza — o 8 km. Brak mieszkań, zaplecza handlowo-usługowego, kulturalnego, oświatowego itp. odrzuca fachowców. A zakład już obecnie ma kluczowe znaczenie dla przemysłu maszynowego. Bez gorzyckich tłoków i sworzni nie można wyprodukować żadnego silnika spalinowego, bez odlewów z metali kolorowych nie może się obejść wiele podstawowych zakładów przemysłu motoryzacyjnego w kraju. Produkcję tak skomplikowanych wyrobów na najnowocześniejszych automatach nie można opierać na chłopie-robotnikach i skromnej kadry technicznej. Autobusami do pracy codziennie dojeżdża już dziś ok. 1000 pracowników, a drugie 1000 własnymi środkami lokomocji.

Co może przyciągnąć fachowców do pracy w WSK Gorzyce? Zadajmy takie pytanie inżynierowi lub technikowi zamieszkałemu np. w powiatowym mieście. W 95 proc. odpowiedź będzie również pytaniem: ile zarobię i czy otrzymam zaraz mieszkanie? A gdy zapewni mu się jedno i drugie, zaraz padnie następne pytanie: jakie perspektywy rozwoju mają Gorzyce? Jakże są lub kiedy będą tam znośne warunki życia kulturalno-oświatowego, jakie jest zaplecze handlowo-usługowe, czy jest i jaka szkoła itd. itd.? Takie pytania postawi każdy człowiek, który poważnie traktuje ofertę w sprawie podjęcia pracy i który chciałby na stałe związać się z zakładem.

Zapewnienie mieszkania, możliwości zaopatrzenia i usług, szkoły dla dzieci, żłobka i przedszkola oraz gduwiej rozyrwyki to tylko moze przydziać dobrych fachowców do Gorzyce. I tym wymaganiom wcale się

dziwić nie należy. To jest prawidłowość, tak być powinno.

„Przemysł jest czynnikiem rozwoju gospodarki narodowej, a zarazem jest czynnikiem miastotwórczym” — takie stwierdzenie użyte z podreżnika ekonomii pasuje do Gorzyce jak ulał.

NOBILITACJA ZDETERMINOWANA

Stare ramy administracyjne stały się już przestarzałe. To nie WSK Gorzyce jest „przyklepiona” do wsi Gorzyce, lecz przy WSK Gorzyce jest wioska o tej nazwie. Z każdego domu w Gorzycach w zakładzie pracuje po 1—2 osoby, a podstawowym źródłem utrzymania mieszkańców wsi jest praca w przemyśle. Wiesz nie jest w stanie udźwignąć jednak funkcji zaplecza wielkoprzemysłowego zakładu. Kto powinien zatem organizować przekształcanie wsi w miasto?

W sytuacji normalnej, to znaczy gdy przedsiębiorstwo przemysłowe jest w mieście, dysponując własnymi funduszami uzupełnia jedynie inwestycje prowadzone w skali miasta przez władze terenowe. Inaczej wygląda to w przypadkach takich jak Gorzyce. Zakład nie posiada środków na inwestycje mieszkaniowe, a tylko w ramach inwestycji towarzyszących zadaniom produkcyjnym buduje określone obiekty wymienione w opinii lokalizacyjno-koordynacyjnej, wydanej przez Wojewódzką Komisję Planowania.

Spółdzielnia Mieszkaniowa w Tarnobrzegu planując rozwój budownictwa mieszkaniowego w Gorzycach zleca opracowanie założeń techniczno-ekonomicznych na drugi etap osiedla mieszkaniowego w Gorzycach dla ok. 12 tys. mieszkańców. Nie ma jednak planu ani decyzji, kiedy i ile mieszkań w przyszłej pięcioletce będzie realizowane i kto będzie je finansować. Już w uzgodnieniach projektowych występuje problem, kto uzbudzi teren osiedla — drogi, wodociągi przemysłowe, linie energetyczne, ścieki i źródła zasilania itp.

Zakład rozumiejąc konieczność rozbudowy Gorzyce jako miasta, w ramach dalszej rozbudowy przewiduje budowę w latach 1976—1980 takich obiektów jak: kryty basen pływaki, hala sportowo-widowiskowa, hotel z restauracją i kawiarnią, żłobek i przedszkole, dom kultury. Zadeklarował on także partycypację w kosztach budowy szkoły średniej w wysokości 20 mln zł. Zawasowane są już przygotowania terenu i dokumentacji pod budownictwo jednorodzinne. Podejmuje

się również wiele inwestycji mniejszych, uzupełniających. Ale w Gorzycach nie na razie nie mówi się o generalnym rozwiązaniu problemu budowy obiektów handlowo-usługowych, których potrzeba staje się szczególnie paląca. Trudno obwiniać za to WSK, który koncentruje się przede wszystkim na inwestycjach przemysłowych, uruchamianiu nowych obiektów, co jest przecież podstawowym jego zadaniem.

Rozbudowa zaplecza mieszkaniowego, usługowego i kulturalnego zajęć się musi jeden gospodarz, który prowadziłby te sprawy kompleksowo i koordynowałby poczynania wszystkich zainteresowanych przedsiębiorstw i instytucji. Na razie takiego gospodarza nie ma. Urząd Gminy nie jest przygotowany do prowadzenia tych spraw, a również powiat nie czuje się kompetentny do ich rozwiązywania. Jest rodzaje się w bólach potrzeb miasto, ale formalnie jest to wieś, która nie jest w stanie rozwiązywać narastających problemów.

A potrzeby są poważne i wymagają natychmiastowego rozwiązania. Punktem wyjścia powinno być opracowanie długofalowego (przynajmniej do 1985 roku) kompleksowego planu rozwoju Gorzyce z wyznaczeniem etapów jego realizacji i wskazaniem, kto, kiedy i w jakich środkach wykona wyznaczone zadanie. Wydzielić trzeba ponadto środki na inwestycje komunalne typu miejskiego, na wykup i przygotowanie terenów oraz opracowanie dokumentacji uzbrojenia terenu pod budownictwo miejskie.

WSK Gorzyce opracowała projekt planu potrzeb zakładu w zakresie budownictwa zakładowego i towarzyszącego na lata 1976—1980 i złożyła go u wszystkich zainteresowanych tą sprawą władz. Ale planu tego nie należy utożsamiać z planem rozwoju miasta Gorzyce, który powinien być uzupełniony o potrzeby miejskie, właściwie opracowany, zatwierdzony w odpowiednim trybie i wdrożony do realizacji.

Tymczasem rzeczywistość jest taka, że w roku bieżącym zakład otrzyma dwa budynki mieszkalne na 144 mieszkania. W roku 1976 nie przewiduje się w Gorzycach do przekazania żadnych nowych budynków mieszkalnych. Nie ma jeszcze opracowanego i zatwierzonego planu budownictwa mieszkaniowego w Gorzycach na przyszłą pięcioletkę. Inwestycje mają to do siebie, że wymagają długiego okresu przygotowania. Już teraz powinniśmy wiedzieć co będziemy budować w 1976 roku. Gorzyce czekają więc na decyzje.

polemiki i dyskusje

JAK KOCHAĆ ELEKTRONIKĘ?

JERZY AUERBACH

TAK SIĘ ZDARZYŁO, że artykuł J. DĄBROWSKIEGO — „DLACZEGO NIE KOCHAMY ELEKTRONIKI” (Z.G. 50/74) przeczytałem dopiero w kilka tygodni po jego opublikowaniu. Ponieważ jednak poruszone przez autora sprawy są nadal i będą jeszcze długo przedmiotem publicznego zainteresowania, sądzę, że na dyskusję na ten temat wciąż nie jest za późno.

Do schwycenia za pióro skłoniła mnie argumentacja autora. Argumentacja, która jest nadużyciem, choć wykorzystana została w sprawie słusznej. Postulat J. Dąbrowskiego dotyczący zaopatrzenia rynku krajowego w sprzęt elektroniczny są w całej rozciągłości godne poparcia — lecz pozostałe pytanie, czy adresat został zawsze właściwie wybrany? Wiele z negatywnych zjawisk wynikających z Dąbrowskiego występuje rzeczywiście — często jednak nie działalność „UNITRY” jest ich przyczyną. Chyba że hołdujemy zasadzie, iż winien jest zawsze ten, kto jest nośnikiem nieprzyjemnych wieści.

Zacznijmy od zaopatrzenia rynku. Żądanie, aby rynek krajowy był zaopatrzony w pełny asortyment sprzętu elektronicznego szerokiego użytku, jest wysuwane przez całe niemal społeczeństwo. Ale przecież, zgodnie z podziałem zadań i kompetencji we współczesnym państwie, zaopatrzenie rynku należy do handlu. Nie jest to pusty slogan ani chwyt polemiczny. Autor artykułu sam słusznie pisze, że nie powinniśmy dążyć do autarkii w produkcji i zauważa, że jest wiele firm i krajów, które nie produkują całego asortymentu wyrobów, a przeciwieśny rynek mają zaopatrzone jak się patrzy. Mimo iż „Unitra” jest monopolistą w naszym kraju, to jej działalność można osądzić tylko w aspekcie jakości i nowoczesności wyrobów, zaś poszczególne fabryki oceniać według gospodarności i wydajności, a więc z punktu widzenia wykorzystania środków produkcyjnych, finansowych, a przede wszystkim kadrowych, którymi dysponuje, a nie z punktu widzenia kompletności zaopatrzenia rynku.

Spróbujmy więc popatrzeć na działalność „Unitry” jako firmy. Firmy dużej, lecz jak na elektronikę wcale nie wyspecjalizowanej. Chocby od strony podzespołów. Wiadomo, że praw-

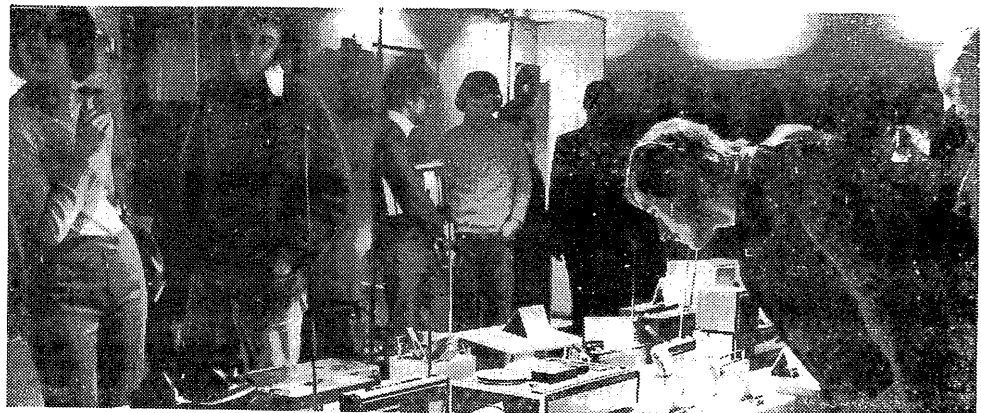
dziwa mutację sprzętu elektronicznego umożliwia przede wszystkim postęp w zakresie podzespołów. Tymczasem w Polsce nie jesteśmy wcale wielkim ich producentem. Konsumpcja tej grupy wyrobów na jednego mieszkańca odpowiadająca z dużą prawidłowością poziomowi uprzemysłowienia danego kraju wynosi u nas około 4 dol. na głowę. We Włoszech sięga 6 dol., w Finlandii — 17 dol., we Francji — 20 dol. w Szwecji 25 dol., zaś w USA czy Japonii około 34 dol. (Electronics XII, 1973). W Polsce konsumpcja jest prawie równa produkcji. Nie tylko więc nie jesteśmy w tej dziedzinie bliscy samowystarczalności, lecz wprost przeciwnie, bazę produkcyjną i rozwojową mamy skromną, i ze względu na rolę elektroniki w kraju należałoby ją wielokrotnie rozwinąć. W obecnej sytuacji zmuszeni jesteśmy w zakresie co nowocześniejszych podzespołów uciekać się — jak radzi J. Dąbrowski — do importu. Co gorzszego, w takiej samej sytuacji znajdują się wszystkie bez mała państwa RWPG. Jedynym więc dostawcą dla nas pozostają państwa o twardej dewizie.

Z drugiej strony polskie fabryki finalnego sprzętu elektronicznego są raczej dostatecznie rozbudowane i to właśnie w trosce o jak największy udział „Unitry” w zaopatrzeniu kraju. Nowoczesność asortymentów rynkowych jest jednak funkcją dostępności do nowoczesnych podzespołów. Dostęp ten ograniczony jest pulą dewizową. Czy w tych warunkach nie należy wypuszczać na rynek sprzętu wysokiej klasy, np. typu „Meluzyny”? Czy nie opracowywać i nie prezentować na targach w rodzaju „TACON” nowoczesnych odmian sprzętu przygotowanego przez fabryki elektroniczne, jeśli są one zdolne do jego wytwarzania, oczywiście pod warunkiem zagwarantowania im zaopatrzenia? Uważam, że byłoby to błąd nie do naprawienia. Obowiązek fabryki jest posiadanie w dyspozycji nowoczesnych modeli przeznaczonych do produkcji, choćby w danej chwili bilans płatniczy nie pozwalał na rzucenie ich na rynek w odpowiedniej ilości. Inna sprawa, kiedy należy wystartować z produkcją: czy w chwili uzyskania dewiz na ograniczone zakupy podzespołów za granicą, czy też kiedy zdobędzie się środki na uruchomienie od razu

dużej serii gwarantującej stałe zaopatrzenie rynku. Wtedy, oczywiście, również lepiej się sprawdza i technologiczność konstrukcji, i ekonomika produkcji.

Obowiązkami przemysłu jest również demonstrowanie nowych modeli na targach międzynarodowych, gdyż kontrakt eksportowy może przyczynić się do zdobycia cennych dewiz dla rynku krajowego. W szczególności w dzisiejszej sytuacji, gdy koszty robocizny w rozwiniętych państwach kapitalistycznych bardzo wzrosły, można liczyć na lokowanie tego typu zamówień u nas. Problem sprowadza się wówczas do zapewnienia powrotu zarobionych dewiz do przemysłu elektronicznego na zakup deficytowych podzespołów. Przy ograniczonej puli dewizowej dyalekt, czy przeznaczyć je na „Meluzyny”, czy na kilka razy większą ilość „Jubilatów”, staje się dyalektem drastycznym. Z drugiej strony niestety trudno o przykłady szybkiego i nienagannego uruchomienia u nas serii produkcyjnej sprzętu wysokiej klasy zamówionego na eksport, do którego zamawiający zapewnił komplet zaopatrzenia. Tego rodzaju przedsięwzięcia są sprawdzianem zdolności i operatywności przemysłu elektronicznego.

Jakie jest więc wyjście z tej sytuacji dla organizatora rynku, którym jest handel? Oczywiście wykrzysztanie międzynarodowego podziału pracy. Ale nie w sposób, jaki proponuje J. Dąbrowski. Aparatura elektroakustyczna wysokiej klasy, w której tkwią podzespoły kupione za twarde dewizy, równie droga jest Czechom, Węgrom czy Niemcom demokratycznym jak naszemu sercu (oraz kieszeni). Wymiana handlowa sprzętu w ramach RWPG do czasu ugruntowania realistycznej polityki podziału badań i produkcji w zakresie podzespołów pozostanie nadal utrudniona — i słabo oddziałująca na zaspokojenie potrzeb rynku. Natomiast do tego czasu handel, którego nam powinno zależeć na zróżnicowaniu bogactwa towarów i dla którego również elektronika powinna być dziedziną, której wagi dla przyszłego modelu konsumpcyjnego nie sposób przecenić” mogłby wywierać właściwy wpływ na kształtowanie podażi przez odpowiednią politykę importową. Po prostu rezygnując ze sprowadzania pewnej ilości gotowych wyrobów do swych domów to-



Fot. S. ZUBCZEWSKI

warowych na rzecz podzespołów elektronicznych. W efekcie takie poiągnięcie powinno być nie tylko miłe klientowi polującemu na magnetofoon Hi-Fi, lecz i dla handlu ekonomicznie opłacalne. Oczywiście, konieczna jest i w tym przypadku samodzielność w gospodarowaniu przydzielonymi na roczny okres dewizami oraz... większe zaufanie handlu do przemysłu.

Inną, równoległą, jakkolwiek dłuższą drogą jest polityka transakcji eksportowych przemysłu elektronicznego oparta na podejmowaniu produkcji w kraju dla firm elektronicznych krajów rozwiniętych.

Długofalowym przedsięwzięciem dla osiągnięcia podstawowego celu, tj. wystarczającego zaopatrzenia rynku w stale nowoczesny sprzęt elektroniczny, może być jednak jedynie modernizacja, i to na dużą skalę, bazy podzespołowej — z jednoczesną intensyfikacją międzynarodowego podziału pracy w ramach RWPG. Ale to jest oddzielny temat, nie dający się wyczerpać nie tylko w kilku zdaniach, lecz nawet w kilku artykułach.

Powróćmy jeszcze do podstawowej troski J. Dąbrowskiego, tj. do polityki zaopatrzenia naszego rynku w sprzęt elektroakustyczny wysokiej klasy. Aby nie było nieporozumień przypomnijmy, że w tej dziedzinie rozróżniamy współcześnie trzy klasy jakości, które odpowiadają trzem grupom sprzętu: popularnego, stereofonicznego i Hi-Fi (nazwy przyjęte umownie). Konsekwentnie należy rozróżniać również trzy grupy cen. Porównywać wzajemnie możemy oczywiście tylko te urządzenia z każdej grupy, które spełniają te same funkcje (odbiorniki, gramofony, gramofony ze wzmacniaczem, magnetofoon kasetowy itd.). Między poszczególnymi klasami nie ma wyraźnej zarysowanych granic. Jedynym problemem w tym swoistym spectrum są najniższe dopuszczalne wielkości

niektórych parametrów sprzętu Hi-Fi, określone przez powszechnie przyjętą w Europie normę DIN 45500. (Ponieważ nazwa Hi-Fi nie jest chronioną prawem, niektórzy producenci nadużywają jej dla celów reklamowych). Sprzęt Hi-Fi reprezentuje najszerszą gamę odmian i jakości. Wierność odtwarzania jest zatem pojęciem względnym. Konstruktorzy dążą do jej stałego polepszenia. Ideałem w odtworzeniu muzyki byłoby osiągnięcie rzeczywistości sali koncertowej. Każdy krok na tej asymptotycznej drodze jest bardzo kosztowny. Stąd w grupie sprzętu Hi-Fi spotykamy bardzo szeroką gamę cen. Gdyby na skali cen wyznaczyć miejsce dla poszczególnych wyżej określonych klas sprzętu, to zawierałaby się one w następujących granicach:

sprzęt popularny od 1 do 3
stereofoniczny od 4 do 8
Hi-Fi od 9 do 30

Aby można było mówić jednoznacznie o sprzęcie elektroakustycznym, nie wystarczy więc przymiotniki: popularny, stereofoniczny, Hi-Fi czy ich odpowiedniki. Polityka nowych uruchomień musi uwzględnić całą różnorodność odmian i decydować, które miejsce można i należy wybrać w poszczególnej klasie. Rynek zaopatrywany przez wiele firm może dysponować całym bogactwem odmian dopasowanych do gustu czy wrażliwości odbiorcy oraz zasobności jego kieszeni. Najdroższy zestaw Hi-Fi, złożony z oddzielnych elementów, prezentowany w 1974 roku na Międzynarodowym Festiwalu Dźwięku w Paryżu, kosztował 3000 dolarów. Jego wytwórcą była mała firma duńska, dla której był on jedynym produktem.

Spularyzowanie sprzętu elektroakustycznego wyższej klasy na początkującym rynku stanowi wielki problem, nawet jeśli pominąć rolę wyspecjalizowanych punktów sieci handlowej i serwisowej. W tych wa-

runkach zarzut „sprzedaży wiązanej” i zalecenia budowy wyłącznie sprzętu w oddzielnych elementach wydaje mi się zbyt arbitralny i odważny. Najbardziej dostępne cenowo w każdej klasie sprzętu są urządzenia kompletne (nie rozbite na elementy). Prawdą jest natomiast, że sprzęt najwyższej klasy produkowany jest wyłącznie w oddzielnych elementach. W Japonii, gdzie notuje się obecnie eksplozję zainteresowania dobrym sprzętem elektroakustycznym, przy bogatym asortymencie rynku 50 proc. kupujących wybiera ze względu na finansowy komplety. Doświadczanie innych krajów wskazuje, że sprzęt Hi-Fi kształtuje kulturę muzyczną uszlachetniającą gusta i podnosząc wymagania. Komplety zamieniane są z czasem na zestawy oddzielnych elementów, droższe, lecz doskonalsze i pozwalające na stopniową wymianę i perfekcję odtwarzania. Droga do popularyzacji sprzętu elektroakustycznego wysokiej klasy nie prowadzi jednak przez zaniechanie produkcji kompletnej aparatury, lecz wprost odwrotnie.

Jestem absolutnym rzecznikiem postulatu zaopatrzenia rynku w sprzęt elektroakustyczny o jak najszerszej gamie. Elektronika „jest na pewno, między innymi, powołana do spełnienia misji kulturalnej w społeczeństwie. Rozmiary tej misji nigdy nie są za małe, tym bardziej zaś w ustroju socjalistycznym. Uważam, że krajowy przemysł elektroniczny powinien w zasadniczej mierze w tej misji uczestniczyć. Ale wyznaczać mu te role trzeba go potraktować na miarę jego wielkości, a w szybko rozpowszechnienie elektroniki — jeśli ma być ono skuteczne — zaangażować o wiele szerszy front; i nie mylić, że względu na groźbę trudnych do naprawienia skutków, monopolu przemysłu elektronicznego na produkcję — z monopolom odpowiedzialności za wszystko, co nosi ten sam przymiotnik.

O WYCENIE POZIOMU ŻYCIA (PROPOZYCJE METODYCZNE)

MIECZYSLAW RAKOWSKI

(2)

W POPRZEDNIM artykule (Ż.G. nr 12/75) wskazałem na możliwość wartościowej wyceny poziomu życia ludności; poniżej omówię szereg związanych z tym problemów oraz przedstawię propozycje, umożliwiające, moim zdaniem, zastosowanie tej wyceny.

Trzeba zastrzec na wstępie, że traktuję te propozycje jedynie jako postępowanie w stosunku do obecnej sytuacji, charakteryzującej się brakiem syntetycznej miary poziomu życia, zdając sobie natomiast w pełni sprawę z ich niedokładności, niepełności i zawartych w nich elementów subiektywizmu. Sądę jednakże, że jeśli wskaże się w tej dziedzinie jakieś — choćby bardzo niedoskonałe — rozwiązanie, to za nim przysiądą inne, lepsze.

WYCENA EFEKTÓW Z UŻYTKOWANIA DOBR TRWAŁYCH

Stosując obecną miarę ogólnego spożycia przez ludność dóbr i usług materialnych i niematerialnych, traktuję je podobnie jak elementy poziomu życia, które w istocie są ze sobą niewspółmierne: elementy bieżącego, jednorazowego spożycia oraz wydatki bieżące na nabycie dóbr, które służą nam będąc w przyszłości przez długi okres.

Elementem bieżącego spożycia i aktualnego poziomu życia są niewątpliwie wydatki na żywność (abstrahując od tworzenia zapasów np. zboża, cukru). Można już natomiast wyrazić wątpliwość, czy bezspornym składnikiem aktualnego poziomu życia są np. bieżące wydatki na odzież; rodzina np. może aktualnie nie wydawać na odzież, a posiadając duże zasoby, wysokiej jakości, ubrać się pod tym względem wysoki poziom życia. Może też być odwrotnie, tj. można dużo aktualnie kupować, a posiadać mały zasób dóbr.

Odzież należy do tzw. dóbr półtrwałych, toteż problem ośmienności metod rachunku w stosunku do konsumpcji jednorazowej nie rysuje się w tym przypadku jeszcze tak ostro. Z całą wyrazistością występuje on natomiast przy zakupie trwałych dóbr wyposażenia mieszkań i samych mieszkań, prywatnych środków komunikacji itp. Ogólnie biorąc, poziom życia we wszystkich dziedzinach związanych z zakupem dóbr trwałego użytku należy określać nie przez bieżące zakupy, lecz przez użytkowanie zasobów nagromadzonych w ciągu wielu lat, a to są zupełnie odmienne pojęcia.

Do wyceny użytkowania dóbr można by zastosować następującą metodę: do bieżących kosztów eksploatacji nagromadzonego zasobu dodajemy iloczyn wartości dóbr (w cenach wytworzenia danego roku), będących w posiadaniu ludności, pomnożony przez stopę renty, składającą się ze stopy amortyzacji poszczególnych dóbr i średniej stopy zysku z całego majątku produkcyjnego i nieprodukcyjnego, funkcjonującego w gospodarce.

Uwzględnienie kosztów bieżącej eksploatacji i amortyzacji nie wymaga, jak sądzę, szczególnych uzasadnień. Stosowanie średniej stopy zysku jest uzasadnione tym, że każda część funkcjonującego majątku trwałego, produkcyjnego i nieprodukcyjnego, powinna w podobny sposób uczestniczyć w zapewnianiu reprodukcji rozszerzonej, tj. w ogólnospołecznej akumulacji, co właśnie można zapewnić przez stosowanie średniej stopy zysku, stanowiącej iloraz ogólnej akumulacji przez całość funkcjonującego majątku trwałego.

Przy tej metodzie rachunku wycena np. użytkowania zasobów mieszkaniowych, obciążona średnią stopą zysku, będzie kilkakrotnie wyższa od aktualnych kosztów czynszu i eksploatacji mieszkań. Będzie to znacznie bardziej obiektywne od obecnej miary roli mieszkań w kształtowaniu poziomu życia ludności, co oczywiście nie oznacza, aby autor proponował podniesienie czynszów. W kwestii wysokości czynszów, warunków otrzymania czy zakupu mieszkań trzeba bowiem wyważyć względy ekonomiczne i względy społeczne, przynoszące tzw. korzyści zewnętrzne, wynikające z mniejszego zróżnicowania warunków mieszkaniowych różnych grup ludności od zróżnicowania w poziomie dochodów.

Przedstawione tu propozycje — zarówno w tej dziedzinie jak i w innych — mają charakter makroekonomicznej wyceny dla potrzeb względnie obiektywnego mierzenia poziomu życia, a nie dla potrzeb polityki cen, która musi uwzględniać różnego rodzaju dodatkowe kryteria. Jest to równie oczywiste, jak i to np., że wysoka wycena makroekonomiczna efektów kształcenia, czy opieki zdrowotnej nie może oznaczać wyśuszenia postulatów odpłatności za nie.

Zasadnicza różnica między sposobem ujmowania „spożycia” dóbr trwałego użytku w bieżących wydatkach ludności, a proponowanym

tu sposobem uwzględniania efektu ich użytkowania polega na soba również znaczne różnice w określaniu ich dynamiki.

Jeśli np. w ostatnim okresie znacznie zwiększył się zakres budownictwa mieszkaniowego, a bardzo różnie — bieżące dostawy mebli, telewizorów itd., to nie oznacza to wcale, iż w tym samym stopniu wzrosły ich zasoby oraz koszty i renta z ich użytkowania, trzeba bowiem brać pod uwagę dość dużą masę tych zasobów w okresie wyjściowym.

Podobny sposób rozumowania można również zastosować do społecznej i technicznej infrastruktury, obsługującej potrzeby ludności. Jeśli chodzi o tę ostatnią, powstają trudności z określeniem udziału ludności w korzystaniu z tej infrastruktury, np. z dróg publicznych.

Ciekawym problemem z tego zakresu jest wycena wartości wykształcenia, traktowanego jako element poziomu życia ludności. Najczęściej rozważa się to zagadnienie pod kątem wpływu „kapitału ludzkiego”, na wzrost wydajności pracy i produkcji. Jednakże zasoby wykształcenia służą również podniesieniu kultury i jakości życia, lepszemu spożytkowaniu wolnego czasu, uzyskaniu większej satysfakcji z wykonywanej pracy (jeśli jest ona dostosowana do kwalifikacji).

Pod względem rachunkowym wstępna propozycja autora polega po pierwsze — na tym, aby całość zasobów wykształcenia oceniać na podstawie całości nakładów publicznych i indywidualnych, ponoszonych na cały cykl kształcenia, wliczając do tych nakładów również ekwiwalent pracy młodzieży (podobnie jak się wlicza do wartości budownictwa chłopskiego ekwiwalent własnej pracy), po wtóre — aby wliczać jako element poziomu życia rentę z tej części zasobów wykształcenia, która nie mieści się już we wzroście płac z tytułu wzrostu kwalifikacji, a która jest związana z bardziej kulturalnym wykorzystaniem wolnego czasu, proporcjonalnie do udziału wolnego czasu w ogólnej sumie czasu pracy i czasu wolnego.

Zdając sobie sprawę, że ta propozycja nie wyczerpuje np. tego efektu kształcenia, który wypływa ze wzrostu satysfakcji z wykonywanej pracy. Można ją ująć w czynnikach charakterystycznych jakości życia.

Jednym z istotnych elementów zasobów ludności są jej zasoby pieniężne. Są one wyrazem potencjalnego dobrobytu w przyszłości, mogą być bowiem przeznaczone na zakup środków trwałych, na zabezpieczenie w starości, od wypadków losowych itp. Wydaje się, że zasoby pieniężne można uwzględnić jako element aktualnego poziomu życia, dyskontując ich wartość (pomniejszając o zadłużenie) na dzień dzisiejszy i obliczając od tej zdyskontowanej wartości rentę w sposób podobny do opisanego wyżej.

WYCENA EFEKTYWNOŚCI WOLNEGO CZASU

Efektywnie wolny czas, tj. czas pozostający do swobodnej dyspozycji ludności jest (niezależnie od płynności tego pojęcia) niewątpliwym dobrem użytkowym, potrzebnym ludziom w coraz większym stopniu ze względu na wzrastające potrzeby kulturalne z jednej strony i wzrastające fundusze swobodnej decyzji — z drugiej.

Obecnie w Polsce prawie wszystkie grupy społeczno-zawodowe odczuwają ostry deficyt wolnego czasu. Dotyczy to kobiet pracujących „na dwóch etatach”, chłopów robotników, dojeżdżających do miast, chłopów intensyfikujących produkcję przy niskim stopniu jej mechanizacji, a także części pracujących — często na kilku posadach — osób z wyższym wykształceniem, nie mogących nawet dobrze wykorzystać swojego funduszu swobodnej decyzji.

Zwiększenie zasobów efektywnie wolnego czasu, zarówno przez skracanie czasu pracy, jak też przez rozwój czasoszczędnych usług oraz produkcji czasoszczędnych wyrobów staje się więc obiektywną koniecznością.

Do wyceny wolnego czasu można podejść od strony preferencji indywidualnych i społecznych. Jeśli poszczególne grupy ludności mają do wyboru korzystanie z tych lub innych czasoszczędnych usług czy też wyrobów, a wydając na to określone pieniądze, oszczędzając określoną ilość czasu, to można na tej podstawie wycenić ich indywidualne preferencje w tej dziedzinie i odpowiednią cenę godzinny wolnego czasu; ważne jest tutaj ustalenie w przybliżeniu dolnej granicy dochodów, przy której ludność jeszcze z tych usług lub wyrobów korzysta.

Nie jest to jednak cena społeczna wolnego czasu. O niej decydują preferencje ogólnospołeczne, które wyraża się, np. wprowadzając ustawowo skracanie czasu pracy, tj. zakładając, że korzyści z tego tytułu są już większe od ponoszonych strat.

Skracanie czasu pracy powoduje, oczywiście w warunkach porównywalnych z układem produkcyjnym pracującym bez tego skracania, określony spadek produkcji i dochodu narodowego, częściowo kompensowany przez wzrost godzinowej wydajności pracy na skutek mniejszego zmęczenia, przez dodatkowy wzrost mechanizacji i poziomu organizacji pracy, a po pewnym okresie również przez szybsze tempo wzrostu kwalifikacji pracowników. Jeśli ilość dodatkowego wolnego czasu przy skracaniu czasu pracy odnieść do prawdopodobnej straty sumy dochodów ludności, to uzyska się średnią cenę 1 godziny efektywnie wolnego czasu, którą można by wyciążyć do rachunku poziomu życia ludności.

Przyjmując, że zarobki są proporcjonalne do udziału w tworzeniu dochodu narodowego, cena wolnego czasu poszczególnych grup ludności byłaby odpowiednio zróżnicowana, proporcjonalnie np. do ich zarobków. Nieuzasadnione są, moim zdaniem, bardzo rozpowszechnione poglądy, że wolnego czasu nie da się wycenić.

Również przy wycenie wolnego czasu bardzo istotna jest metodologia wyceny dóbr i usług o efektach złożonych. Weźmy dla przykładu wycenę żywności w zakładach gastronomicznych i wycenę produktów garmażeryjnych. Wydaje się słuszne, by w wymienionych tu przypadkach rozdzielić uzyskiwany efekt na dwie części: na efekt „biologiczny”, który należy wycenić w/w wartości spożywanego produktu w cenach detalicznych i na efekt uzyskiwanego dodatkowo wolnego czasu, wycenionego w/w podanych wyżej metod.

Według przeprowadzonych przez autora szacunków, cena wolnego czasu w rachunku poziomu życia wynosiła w latach 1971—73 ok. 8 zł/godzinę.

SPOŻYCIE SZKODLIWE I POZORNE

Przy obliczaniu spożycia dochodu narodowego, czy też ogólnego spożycia ludności, uwzględnia się wszystkie wydatki, niezależnie od oceny ich racjonalności. Takie podejście nie jest słuszne przy wycenie poziomu życia. Nadmierna konsumpcja alkoholu czy tytoniu przez nałogowców, na pewno nie jest wyrazem wzrostu ich poziomu życia. Jest rzeczą do dyskusji, jaką część tej konsumpcji uznać za element wzrostu poziomu życia. Wydaje się, że tę część, której ludność się nie wstydzi i która znajduje odbicie w rozliczeniach budżetów rodzinnych (ok. 1/5 rzeczywiste spożywanego alkoholu i ok. 1/2 spożywanego tytoniu).

Jeszcze istotniejszym problemem jest spożycie pozorne, wynikające z pogorszenia się warunków życia ludności. Jeśli np., w związku z wzrostem wielkich aglomeracji, zwiększają się wydatki ludności na komunikację z miejscami pracy i korzystania z codziennych usług, to należy je wyliczyć z rachunku wzrostu poziomu życia, zaś jako ujemną

pozycję uwzględnić wzrost wartości czasu traconego na te cele.

Nie można także zaliczyć na rzecz wzrostu poziomu życia wydatków służących kompensacji większego zanieczyszczenia powietrza (np. zwiększonych z tego tytułu wydatków na higienę), części wydatków na rekreację koniecznych dla regeneracji sił nadwężonych w warunkach niewłaściwego mikroklimatu i hałasu, panujących w wielkich aglomeracjach i skupiskach przemysłu. Wydaje się również, że bardzo znaczną część wydatków na ochronę zdrowia należy liczyć jako koszt kompensacji szkód towarzyszących rozwojowi cywilizacji w aktualnych warunkach, a nie jako element charakteryzujący wzrost poziomu życia. Znaną rzeczą jest np. wzrost chorób nowotworowych, chorób serca, nerwowych i psychicznych, wzrost ilości wypadków i zatruczeń związanych z współczesnymi warunkami życia, komunikacji i pracy. Warto tu zwrócić uwagę, że przewidziana aktualnie przez GUS przeciętna długość dalszego trwania życia ludności w miastach jest prawie identyczna jak na wsi, przy znacznie przeciętnie większych wydatkach na ochronę zdrowia w przeliczeniu na mieszkańca w mieście. Sposób wydzielenia wydatków kompensujących szkody powodowane przez rozwój cywilizacji z ogólnej sumy wydatków na ochronę zdrowia, wymaga oczywiście badań szczegółowych, ale sama konieczność takiego wydzielenia jest niewątpliwa.

JAKOŚCIOWE CZYNNIKI POZIOMU ŻYCIA

Przy próbach dokonania całościowej charakterystyki poziomu życia nie można ograniczyć się do wyceny tych jego elementów, które można skwantyfikować, a następnie w ten lub inny sposób wycenić. Trzeba również uwzględnić — często bardzo ważną — jakościową charakterystykę tych elementów. Dla przykładu, zupełnie czym innym jest z punktu widzenia wymagań współczesnego człowieka mieszkanie wyposażone we wszystkie podstawowe urządzenia — elektryczność, wodociąg, kanalizację, gaz, ciepłą wodę, centralne ogrzewanie, telefon, aniżeli mieszkanie pozbawione tych urządzeń w całości lub częściowo. Ważnym czynnikiem jakościowym jest również to, czy jest to mieszkanie samodzielne.

Propozycja autora polega na tym, aby brak poszczególnych urządzeń mieszkaniowych uwzględniać, mnożąc wyliczoną uprzednio wartość poziomu życia — przy umownym założeniu posiadania mieszkania z wszystkimi w/w urządzeniami komunalnymi — przez współczynniki poprawkowe, mniejsze od jedności przy braku poszczególnych urządzeń. Współczynniki takie można byłoby np. ustalać ankietowo.

Zdaniem autora, nawet przy umiarkowanych współczynnikach poprawkowych, tak wyliczony poziom życia będzie znacznie niższy od poziomu obliczonego bez ich uwzględnienia.

Analogicznie można również uwzględnić różnice jakościowe związane z dostępnością przestrzeni i czasową usług w ogóle, a usług wyższego rzędu w szczególności. Jest ona oczywiście o wiele wyższa w centrach dużych miast, aniżeli na ich peryferiach, w małych miastach, a tym bardziej na wsi. Czynniki różnej dostępności usług można uwzględnić podobnie, jak różnice w wyposażeniu mieszkań, przy pomocy współczynników, pomniejszających ogólny poziom życia. Z drugiej strony należy także uwzględnić czynnik pogarszający jakość życia w wielkich skupiskach ludzkich i przemysłowych.

Oceny takie mają sporą dozę subiektywizmu, pozwalają jednakże w

sposób wymierny porównywać różne warianty rozwoju gospodarczego i zagospodarowania przestrzennego. Zakładając np. pewne obniżenie tempa wzrostu ilościowych elementów poziomu życia na rzecz poprawy jego jakościowych czynników, można otrzymać w sumie z tych samych zasobów przeznaczonych na rozwój społeczno-ekonomiczny — wyższy łączny poziom życia.

Jak wspominałem już w poprzednim artykule, istotne jest zróżnicowanie poziomu życia między poszczególnymi grupami społecznymi. Można je skwantyfikować przez dopełnienie do współczynnika koncentracji Lorenza różnych rodzajów zróżnicowania poziomu życia (w przekroju dochodowym, zawodowym i przestrzennym).

Mnożąc statystyczny poziom życia ogółu społeczeństwa przez ten współczynnik uzyskuje się obraz poszczególnych elementów poziomu życia i jego części dla różnych grup społecznych.

To łączne uwzględnienie czynników jakościowych i społecznych w wycenie ogólnego poziomu życia ludności, stwarza, zdaniem autora, znacznie większe możliwości manewru od dotychczasowych, w wyborze wymiernych wartościowo wariantów rozwoju społeczno-ekonomicznego, w usuwaniu lub łagodzeniu dysproporcji między różnymi ilościowymi i jakościowymi elementami poziomu życia.

RÓŻNICE W OBIEKTYWNYCH POTRZEBACH RÓŻNYCH GRUP LUDNOŚCI

Dotychczas rozważaliśmy możliwość pomiaru poziomu życia od strony odpowiednio wycenionej podaży efektów użytkowych. Istnieje jednak również druga strona poziomu życia, wymagająca analizy a mianowicie stopień obiektywnego zróżnicowania potrzeb różnych grup ludności. Ta sama wartość poziomu życia w przeliczeniu na mieszkańca nie oznacza w rzeczywistości tego samego poziomu życia, jeśli potrzeby ludzi są obiektywnie różne.

Dlatego w tym rachunku istnieje także potrzeba sprowadzenia do porównywalności obiektywnych potrzeb różnych grup ludności w zakresie wyżywienia i odzieży, wymogów mieszkaniowych, potrzeb kulturalnych itp. Jest to warunek niezbędny dla zapewnienia większej obiektywności tego rachunku w różnych przekrojach, w tym również w ujęciu dynamicznym. Istnieją już w praktyce budżety rodzinnych przeliczniki potrzeb żywnościowych dla różnych grup wieku. Moim zdaniem, można ten system przeliczników rozszerzyć na pełny wachlarz potrzeb dla różnych grup ludności zależnie od charakteru pracy, wykształcenia, struktury rodziny itp.

W JAKICH CENACH LICZYĆ CAŁOŚĆ POZIOMU ŻYCIA?

Co się tyczy składników poziomu życia związanych z użytkowaniem zasobów, wolnym czasem, jakościowymi cechami poziomu życia, przedstawiałem wyżej szereg propozycji, mających na celu większą obiektywizację roli tych czynników w ogólnej wartościowej wycenie poziomu życia. Jednakże w ostatecznym rachunku wszystkie te wyceny wiążą się z aktualnym układem cen.

Dokonując szacunków zmian w poziomie życia w ostatnich latach opierałem się, z natury rzeczy na istniejących cenach, traktując to ujęcie jako pierwsze przybliżenie. Nie zgadzam się jednak z poglądem, że jedynie ceny faktycznie funkcjonujące w gospodarce mają realny sens ekonomiczny, gdyż odzwierciedlają w przybliżeniu wymogi równowagi rynkowej i w ten sposób

również w skali makroekonomicznej spełniają wymóg proporcjonalności cen wyrobów do ich cech użytkowych. Ta proporcjonalność w warunkach dość znacznego zróżnicowania dochodów i istnienia rynku producenta jest wątpliwa. Natomiast najistotniejszą cechą istniejącego układu cen jest to, że ceny poszczególnych wyrobów i grup wyrobów, zależnie od różnych przyczyn uzasadnionych w większym lub mniejszym stopniu, posiadają w warunkach naszego rynku, krańcowo różne stopy rentowności, poczynając od wielkości ujemnych, a na dużych wielkościach dodatnich kończąc.

Ta wielka rozbieżność stóp rentowności wyrobów oznacza, że ceny, w których mierzy się aktualnie poziom życia ludności, nie spełniają dwóch podstawowych zadań. Iakie należy im stawiać z punktu widzenia obiektywnej, makroekonomicznej wyceny? Nie są proporcjonalne do sumy obiektywnie niezbędnych pełnych nakładów pracy potrzebnych do ich wytworzenia, tj. do ich „pełnej” pracochłonności (co koreluje z socjalistycznymi zasadami podziału w/g pracy) i średniej stopy zysku do zaangażowanego majątku trwałego (co koreluje z potrzebami reprodukcji rozszerzonej).

Takim wymogom odpowiada formuła marksowskiej ceny produkcji. Dlatego, moim zdaniem, niezależnie od tego, że realne ceny poważnie odbiegają i w większości przypadków, powinny odbiegać od formuły ceny produkcji, obiektywną wycenę poziomu życia ludności należy dokonywać w tych właśnie umownych cenach. Ceny te można z dostatecznym przybliżeniem wycenić dla całych gałęzi i branż metodą przepływów międzygałęziowych, a następnie otrzymane wyniki gałęziowe deagregować do poziomu poszczególnych grup wyrobów, a nawet wyrobów.

Przy analizie dynamiki poziomu życia w czasie, należy oczywiście posługiwać się, celem uzyskania względnie obiektywnych wyników, jej wyceną zarówno dla wyrobów, jak i usług w cenach okresu początkowego i końcowego, czy też w cenach rzeczywistych, czy też w umownych, (których relacje zmieniają się wraz ze zmianą relacji wydajności pracy i majątkochłonności).

Mierzenie poziomu życia ludności metodą nakładów społecznie niezbędnych dla uzyskiwania określonych efektów użytkowych jest, zdaniem autora, obiektywniejsze niż nadawanie tym efektom całkowitej subiektywnej „wagi”, jak to jest przyjęte w metodzie „genewskiej”, w której ponadto poszczególne efekty użytkowe są rozumiane zbyt szeroko.

Tym niemniej istnieje ogromna skala rzeczywiste porównywalności i zastępujących się wzajem efektów użytkowych. W tych przypadkach efekty te, niezależnie od nakładów ponoszonych rzeczywistości na ich uzyskanie, należy wycenić w/w jednolitych cen, odpowiadających najbardziej typowym przypadkom. Te różnice w ponoszonych nakładach mogą dotyczyć substytutów, wyrobów o różnej trwałości, różnych dróg zwiększania efektywności wolnego czasu oraz uzyskiwania określonych jakościowych wskaźników poziomu życia. Ale to już są problemy z zakresu maksymalizacji poziomu życia z posiadanych zasobów, co wymaga oddzielnego omówienia.

Próbowałem tu wykazać, że stworzenie syntetycznej, wartościowej miary poziomu życia ludności, uwzględniającej jego jakościowe i społeczne aspekty, jest zadaniem całkowicie realnym. Przedstawiony tu wstępny zarys metody tego pomiaru będzie, mam nadzieję, rozwijany i udoskonalany zespołowym wysiłkiem wielu naukowców. Osobiście sądzę, że jest on wart tego wysiłku.



Fot. ARCHIWUM

KOTLINA STYLONEM PŁYNĄCA

IWONA WOJTCZAK

MÓWI się, że Kotlina Jeleniogórska jest dzisiaj jednym z najbardziej zagospodarowanych rejonów kraju. I jest tak, skoro poziom uprzemysłowienia i jego dynamika o 43 proc. przewyższa tam przeciętną krajową. Tak znaczny stopień rozwoju ma dla Kotliny podwójny skutek, bo z jednej strony stwarza trudności, jakich nie napotykały jeszcze mniej zaawansowane obszary kraju, z drugiej strony, ponieważ ściągają ludzi, którzy mogą tak skomplikowanym sprawom poddać — ludzi światłych, dobrych fachowców — wzbogaca tamtejsze życie społeczne o środowiska zawodowe, kulturalne i naukowe na wysokim poziomie.

W świadomości Polaka jest jednak Kotlina Jeleniogórska miejscem sportów zimowych, wypoczynku i leczenia; Karpaczem, Śnieżką, Cieplicami, malowniczością, czystym powietrzem, „rajem utraconym natury”. Na ogół Polak nie jest świadom tego, że na skutek długoletniego, nie kontrolowanego dostatecznego rozwoju, Kotlina uległa znacznej dewastacji i należy w tej chwili do obszarów kraju poważnie zanieczyszczonych odpadami przemysłu (Górny Śląsk, Okręg Wałbrzyski, Puławy, Kotlina Jeleniogórska, górna zlewnia Noteci). Liczy się na to, że baza turystyczna Kotliny zostanie w niedługim czasie znacznie rozbudowana. Ale na co i komu przydadzą się te turystyczne inwestycje, jeśli zabraknie powodów do inwestowania?

Degradacja turystycznej rangi Kotliny od lat wywołuje sprzeciw miejscowych środowisk. Sprzeciw ten nie jest bierny, organizuje się tam różne akcje i przedsięwzięcia, jak np. od czterech lat zwolowane konferencje „tamtejszego oddziału NOT”. Zjeżdżają na te konferencje autorytety od spraw racjonalnego gospodarowania środowiskiem. Powołano w Jeleniej Górze pierwszy w Polsce Komitet Ochrony Środowiska Człowieka i opracowano szczegółowy program działania tego komitetu. Władze powiatu przyjęły ten program do realizacji.

Ludzie od planowania przestrzennego uważają, że nie można pogodzić wielkiej chemii i wielkiej turystyki, choć można od biedoty utrzymać w takim związku małą chemię z małą turystyką. CELWISKOZA, leżąca w samym centrum kotliny, chce jednak stać się „środką chemii”, jaką jest obecnie „duża chemia”, a turyści chcą coraz bardziej masowo odwiedzać powiat jeleniogórski (było ich w tym roku mniej więcej 1,5 mln).

Władze powiatu w tej niezmiennie dla siebie uciążliwej i trudnej sytuacji, chcą doprowadzić do współistnienia turystyki i przemysłu. Wydaje się im być to jedynym wyjściem, jeśli rozważyć obecny stopień zagospodarowania powiatu. CELWISKOZA ze swymi naturalnymi

skłonnościami do rozwoju również ma wejść w skład tych systemów współistniejących. Warto się zastanowić czy jest to możliwe?

CELWISKOZA to zakład produkujący w jednej swojej części celulozę, a w drugiej ciętą włókno wiskozowe — wiskożę. To produkcja planowana — a produkcja nie planowana odpadów jest także dość pokaźna i o bardzo zróżnicowanym asortymencie. Celulozownia — wydzielając siarczan sodu w ilości 100 ton rocznie — wszystko to rozsiłane zostaje po Kotlinie. Siłownia, obsługująca zakład i warzelnię celulozowni, wydala dwu i trójtlenek siarki — w ciągu roku 24 tys. ton. Produktem ubocznym celulozowni są też merkaptany — substancje zapachowe, cuchnące. Merkaptany tych wyłatuje w powietrze 34 kg/ha. Wiskozownia — dwusiarczku węgla daje 550 kg/ha, siarkowodoru 176 kg/ha.

Gazy te, pył sodowy i węglowy zanieczyszczają atmosferę Kotliny. Piękna niegdyś rzeka Bóbr jest w tej chwili ściekowym kanałem przemysłowym — na jedną tonę wyprodukowanej wiskozy spływa do rzeki więcej niż jedna tona kwasu siarkowego (oczywiście zanieczyszczonego innymi jeszcze związkami). W ciągu jednej doby produkuje się kilkadziesiąt ton celulozy i kilkadziesiąt ton trującego ługu sodowego, który spływa do rzeki i utrzymuje się w wodzie w postaci brunatnej zawiesiny. W zatruwanym od kilkunastu lat Bobrze zamarło na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów poniżej Jeleniej Góry wszelkie życie biologiczne.

Co się wie o szkodliwości tych wydzielanych przez CELWISKOZĘ substancji? Dwutlenek siarki, wydzielający się przy wszystkich procesach spalania, powoduje niszczenie wielkich obszarów leśnych i upraw rolnych, powoduje pogorszenie warunków klimatycznych.

ZYWIŁOWY — nieświadom procesów, które uruchamia i wywołuje — rozwój przemysłu tzw. „uciążliwego” trwał w Polsce mniej więcej do roku 1960. Gdzieś na początku lat sześćdziesiątych ujawniły się w skali masowej skutki tego niefrasobliwego spożytkowania osiągnięć „czystej techniki” (tzn. techniki obliczeń, która nie uwzględniała relacji zjawisk spowodowanych przez nią z całością zjawisk naturalnych w przyrodzie). Wtedy to pojawiły się pierwsze próby mobilizacji środowisk naukowych, opinii publicznej, władz politycznych i administracyjnych do przeciwdziałania. Dopiero jednak gdzieś koło roku 1968 zdołano przynajmniej częściowo, zahamować dalsze rozprzestrzenianie się zniszczeń. Od myśli o przeciwdziałaniu daleko tu było jeszcze do samego działania, gdyż np. w przypadku przemysłu chemicznego wymaga to długoletnich badań nad po-

znaniem i techniką oczyszczania lub neutralizowania najszkodliwszych związków chemicznych produkowanych ubocznie.

Dlaczego tak się dzieje, można by spytać, przecież zwykła logika wymaga, żeby przewidywać skutki własnego działania albo przynajmniej wiedzieć, czym i na co się działa, jak również, co z tego wynika? W przypadku wielkiej chemii dobrze znane są tylko te reakcje chemiczne, których kolejny ciąg finalizuje się w produkcie. Cała reszta — czyli znaczna większość reakcji, w jakie wchodzi z sobą składniki użyte do produkcji, które są niezależne od „programu”, ale programem tym pobudzone i tworzące już własne, przez nikogo nie kontrolowane substancje i produkty, o nowych często właściwościach — jest nie znana. Te siarczany i siarkowodory, które wyrzuca np. CELWISKOZA nie występują w czystych postaciach, ale często w połączeniu z innymi znanymi i nieznanymi substancjami. Odrzuca się je jako zanieczyszczenie, odpad, produkt uboczny. Z 500 tys. różnych związków chemicznych i substancji działających dzisiaj na ludzki organizm i całe środowisko biologiczne, a wytworzonych przez przemysł, znanych nauce jest 5—10 proc. Operuje się tymi 5—10 proc. wprowadzając je w kolejne różne połączenia; wzbogaca się poznanie, wzbogaca praktykę — a jednocześnie wzbogaca środowisko o ciągle nowe, nieznane, być może w przyszłości poznawalne, składniki.

Nie jest więc często żadnym niedbalstwem, nie jest nieszcześliwym błędem, przypadkiem, że wielka chemia zanieczyszcza środowisko. Musi je zanieczyszczać. Chronić je może dopiero po ustabilizowaniu się asortymentu produkcji danego zakładu, kiedy będzie on już zdolny — angażując znaczne sumy i zatrudniając wielki aparat naukowy — dokonać przybliżonej choćby analizy odpadów, opracować technikę ich rozkładania, zaprojektować odpowiednie do tej pracy urządzenia. Tego typu pozaprodukcyjna praca zabiera jednak kilka lat czasu i dużą część zysków przedsiębiorstwa. Poza tym oznacza stagnację produkcji na lat kilka, co przy dzisiejszej dynamice rozwoju przemysłu chemicznego jest niemal niemożliwe. Dlatego wielka chemia, zawsze eksperymentująca, zawsze w rozwoju, wytwarzająca wciąż nowe i jakościowo lepsze wyroby — nie ma czasu ani środków na pełne unieszkodliwianie swoich wciąż różnorodniejszych odpadów. Unieszkodliwianie to — ponieważ jest z drugiej strony konieczne — odbywać się może zawsze tylko częściowo.

W JELENIOGÓRSKIEJ CELWISKOZIE okres przygotowywania się do budowy chemicznej oczyszczalni ścieków trwał 10 lat. Zaangażowano do tych prac nauko-

we instytuty resortowe, Politechnikę Wrocławską, specjalistów polskich i zagranicznych. Chemiczna oczyszczalnia ścieków jest już gotowa i może zostać uruchomiona, ale z góry wiadomo, że będzie nieskuteczna. Zastosowana tam technika oczyszczania dotyczy tylko ścieków wiskozowych. Deficytowość i niska jakość celulozy od dawna skazywała celulozownię na likwidację, nie brano jej więc w rachubę przy tym kosztownym przedsięwzięciu. Od kilku już lat zakład ubiegał się o tę likwidację, przy silnym poparciu władz powiatowych i wojewódzkich. Zakład przewiduje likwidację produkcji celulozy w roku 1975—76 — a więc w najlepszym przypadku, jeśli uzyska się zgodę na likwidację, celulozownia będzie pracowała jeszcze dwa lata, a kosztowne urządzenie przez dwa lata nikomu nie przyniosą żadnego pożytku.

Mała skuteczność zabiegów zakładu mających na celu zmniejszenie zanieczyszczeń jest często, to prawda, niezależna od możliwości samego zakładu. Choćby sprawa kominów-wyrzutni gazów. Kilka lat temu dużym kosztem postawiono komin 156 m. Skuteczność tego urządzenia dla otoczenia zakładu jest prawie żadna. Kolejne ekspertyzy ustalały tę skuteczną wysokość na 350, a potem na 700 m. Stwierdzono jednak, że komin 700 m jest przedsięwzięciem nierealnym, ze względu na koszt i możliwości techniczne. Przewiduje się zatem zainstalowanie urządzeń oczyszczających o wysokim stopniu sprawności — firmy Lurg z RFR, uzupełnionych kominem 350 m.

Z danych dotyczących różnych dzisiaj w świecie opracowanych metod absorpcji gazów, a przedstawionych na konferencji NOT w Jeleniej Górze wynika, że nie istnieje jedna metoda i jeden system skuteczny i niezawodny. Stosuje się więc całe kompleksy systemów, nawzajem się zabezpieczających — całą potęgą, drugą fabrykę oczyszczania. W końcu są to dzisiaj normalne problemy chemii, ale funkcjonującej w przeciętnych, typowych środowiskowych warunkach. I na tym właśnie polega główny problem jeleniogórskiej CELWISKOZY. Funkcjonuje ona w warunkach nietypowych.

GDYBY ktoś zechciał przeprowadzić takie badania, które ustaliłyby zespół warunków, w których uciążliwość zakładu chemicznego szczególnie wzrasta, wskazać mógłby Kotlinę Jeleniogórską i mieszkający w jej centrum zakład. Ze względu na specyficzne właściwości klimatyczne kotlin, takie usytuowanie zakładu zwielokrotnia wszystkie szkodliwe oddziaływania odpadów i wobec tego niezmiennie zwiększa koszty wszystkich urządzeń oczyszczających. Jest to zakład równie kosztowny ekonomicznie, jak społecznie — znacznie bardziej ko-

sztowny niż wynikałoby to z wszelkich przyjętych dla tego przemysłu norm.

Charakterystyczne dla kotlin są tzw. inwersje termiczne. Zjawisko to polega na wzroście temperatury powietrza wraz ze wzrostem wysokości. Im wyżej, tym cieplej. Na ogół najwyższe temperatury występują na wysokości 600—700 m od dna kotliny. Na tej wysokości przebiega też tzw. granica inwersji i powietrze powyżej tej granicy stopniowo ochładza się. Zimne i wilgotne powietrze osiada więc tuż nad dnem kotliny, jego ruch ku górze jest zahamowany inwersją. Okresy inwersji trwają w ciągu roku ponad dwa miesiące. Typowe dla kotlin są także długie okresy dni bezwietrznych, zupełnych ciszy; tych dni jest w roku około 40 proc. Zatem przez ponad dwa miesiące roku brak jest tam wszelkich, zarówno poziomych jak i pionowych, ruchów powietrza. Łatwo zrozumieć, że takie warunki klimatyczne muszą szczególnie potęgować natężenie i szkodliwość zanieczyszczeń. Znaczna wilgotność chłodnego powietrza bardzo zwiększa toksyczność związków chemicznych, a jako nieruchomość powoduje opadanie pyłów i zanieczyszczeń ku dołowi, co doprowadza do ich znacznych i utrzymujących się długo natężeń. Trzeba dodać, że przez najbliższe lata nie będą przecież działać żadne sprawne urządzenia oczyszczające. Jest przy tym oczywiste, że nawet później komin o wysokości 350 m, a więc poniżej granicy inwersji, jest bezużyteczny.

Z TYCH wszystkich, zbyt już oczywistych powodów, rozważano różne projekty przebrankowania zakładu lub zmiany jego lokalizacji. Moment wydał się dogodny: zakład jest przestarzały, jego majątek trwały nie przedstawia wielkiej wartości; żeby istnieć dalej musi się rozbudowywać i modernizować. Pojawiały się jednak pewne nieprzewidziane trudności w resorcie chemii i należało pilnie znaleźć producenta nowych rodzajów włókien syntetycznych — potrzeby społeczne nagła. CELWISKOZA zgłosiła swoją kandydaturę. Oferta została przyjęta. Przystąpił się zatem niedługo do budowy trzeciej części zakładu (a więc dlaczego nie w nowym miejscu? Powody podane przez zakład wydają się być raczej mało ważne). Produkcja docelowa trzeciej części zakładu, wynosząca 40 tys. ton włókna ciągłego poliamidowego (stylon) i 2 tys. ton włókna poliuretanowego (jedwab — na razie jest technologicznie niedopracowany). Produkcja wiskozy pozostanie na niezmienionym poziomie 30 tys. ton. Można by zatem spokojnie cieszyć się z tego przyrostu dóbr, gdyby nie trzeba było płacić za ów przyrost zbyt wygórowanej ceny, to znaczy gdyby produkcję zlokalizowano w innym miejscu.

Wszystkim zaniepokojonym sprawą CELWISKOZY chodzilo o przedstawienie jej na jakąś produkcję nieszkodliwą, jeśli nie o likwidację. We wszystkich tych projektodawców zakład uderzył ich własną bronią. „Macie swoją produkcję nieszkodliwą, produkcję poliamidu” — mówi CELWISKOZA — „zostaniemy dalej tym czym jesteśmy, chemią, nawet wielką chemią, ale chemią nieszkodliwą”.

Na nieszkodliwą chemię, której skutków ubocznych nie można sprawdzić od zaraz, nie ma argumentu. Pozostaje tylko wątpliwość — wynikająca z podzielenego przez cały produkujący od dawna świat przekonania — iż z samej istoty przemysłu chemicznego wynika, że pozostawia on zanieczyszczenia, znane dziś albo jeszcze nie znane, szkodliwe albo mniej szkodliwe. To sprawa do późniejszego przez naukę ustalenia. W Gorzowie produkuje się włókno poliamidowe i nie wykryto tam żadnych znanych nauce szkodliwych skutków. Ale czy w niekorzystnych dla przemysłu, a korzystnych dla zdrowia warunkach klimatycznych Kotliny Jeleniogórskiej, można sobie pozwolić na takie przemysłowe eksperymenty? A co się stanie, jeśli za kilka lat okaże się, że ta produkcja jest jednak w jakimś stopniu szkodliwa, kto wtedy zlikwiduje zakład, w który zainwestuje się kilka miliardów złotych? I co wtedy będzie z odpocznikiem i turystyką w regionie szczególnie do tego celu predestynowanym?

Zakład chemiczny może stanąć gdziekolwiek, lecz Karkonoszy i wód radoczących nikt nie przeniesie na inne miejsce. Wiadomo już w tej chwili z doświadczeń amerykańskich, że przy produkcji — przewidywanej w CELWISKOZIE — włókna poliuretanowego wydzielają się znaczne ilości cyjanów. Ale o tym milczy się w zakładzie, bo zakładowi chodzi głównie o przetrwanie; ma swoje własne niezależne, wynikające z samego faktu swego istnienia, cele i dla tych celów wykorzystuje każdego rzeczownika uprzemysłowienia za wszelką cenę.

MIT regeneracji i rekonstrukcji środowiska wprowadza tu wiele fałszywych nadziei i jest pilnie podtrzymywany przez ludzi z fałszywą świadomością i trochę nieczystym sumieniem. Z opinii wypowiedzianych przez specjalistów różnych branż na konferencjach oddziału NOT w Jeleniej Górze wynika, że gdyby nawet teraz wstrzymać odprowadzanie ścieków do Bobru i zbiornika Pilichowice, to nagromadzony tam osad będzie zatruwał okolicę jeszcze przez kilka następnych pokoleń. (Taka była m. in. opinia prof. Z. Rudolfa).

To, że chemia musi być szkodliwa, nie znaczy wcale, że musi być zabójcza dla organizmów żywych.



Fot. A. KONIAKOWSKI

ANDRZEJ GRODEK

IRENA KOSTROWICKA



URODZIŁ się 30 listopada 1901 r. w Łodzi, zmarł 23 listopada 1959 r. w Warszawie. Był nauczycielem akademickim, wychowawcą młodzieży, wybitnym naukowcem o niezmiernie rozległych zainteresowaniach, pełnym temperamentu i pasji twórczej, a zarazem działaczem społecznym i organizatorem wyższego szkolnictwa ekonomicznego w Polsce. Głównym terenem Jego działalności była Szkoła Główna Planowania i Statystyki w Warszawie, uczelnia, której był wychowawcą, profesorem, wieloletnim prorektorem i rektorem.

Postać ANDRZEJA GRODKA jest ciągle żywa w pamięci tych, którzy Go znali, a Jego działalność odczuwalna w życiu Szkoły, którą kierował do ostatnich niemal chwil swego życia. Także w nauce czas nie zdezaktualizował Jego dorobku. Prace Jego i koncepcje są nadal wykorzystywane, pobudzają do przemyśleń i dyskusji.

W 15 rocznicę śmierci Andrzeja Grodka grono współpracowników, kolegów, uczniów i wychowanków stowarzyszonych w Kole Absolwentów SGH — SGPiS przy Polskim Towarzystwie Ekonomicznym, podjęło inicjatywę ufundowania medalionu A. Grodka, który umieszczono w auli Jego imienia.

Warto przypomnieć tę niecodzienną postać, której wartości, myśli i działalność stanowią mogący przykład dla żyjących.

W 1926 r., po ukończeniu studiów w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, z inicjatywą prof. Ludwika Krzywickiego, o którego pisał pracę dyplomową (a później magisterską i doktorską), został asystentem w Katedrze Historii Handlu, kierowanej przez prof. Edwarda Lipińskiego. W 1936 r. habilitował się, uzyskał docenturę i objął samodzielny wykład historii gospodarczej.

Był już wówczas długoletnim (od 1927 r.), aktywnym członkiem Instytutu Gospodarstwa Społecznego, grupującego postępowych myślicieli i działaczy. Współpracował też z Biblioteką Główną SGH (od 1931 r.), początkowo jako asystent naukowy dyrektora Konstantego Krzeczowskiego, później jako jego zastępca.

W 1939 r. docent A. Grodek brał udział w obronie Warszawy jako ochotnik w batalionach robotniczych. Lata okupacji to w Jego życiu przede wszystkim okres walki o zachowanie cennych zbiorów Biblioteki SGH, której po śmierci prof. K. Krzeczowskiego był faktycznym kierownikiem. Zasadą Grodka było stworzenie w Bibliotece warunków do pracy i spotkań dla wielu naukowców, głównie ekonomistów i socjologów, a także dla działaczy politycznych ówczesnej lewicy, poszukujących materiałów do swych broszur i artykułów w prasie podziemnej. Ich

rozmowy i dyskusje pozwalały przeżywać wiele spraw i przygotowywały przyszłą działalność. W tym czasie Grodek podjął własne badania nad problemami ekonomicznymi związanymi z oczekiwanym odzyskaniem przez Polskę Ziemi Zachodnich i Północnych.

Podczas powstania warszawskiego Grodek nie opuścił Biblioteki. Używając licznych forteli, z narażeniem życia chronił przed zniszczeniem i wywiezieniem cenne skarby polskiego majątku kulturalnego. Dzięki temu w lutym 1945 r. Biblioteka mogła zostać uruchomiona. W następnym miesiącu, dzięki staraniom Grodka, wznowiła pracę szkoła — jako pierwsza w wyzwolonej stolicy wyższa uczelnia, w której Profesor Grodek (od 1945 r.) wykładał historię gospodarczą, historię ruchów robotniczych i związków zawodowych.

Oflarny wysiłek i zdolności organizacyjne zjednały Mu powszechny szacunek i uznanie. Wyrazem tego był Jego wybór na prorektora (1946 r.), a następnie na rektora (1947—1949) SGH. Przewodniczył postępowej grupie profesury budującej nową treść szkoły. Z Jego inicjatywy wprowadzono wykłady z socjologii marksistowskiej. Był też jednym z inicjatorów przemian w całym wyższym szkolnictwie, brał również udział w przygotowywaniu nowych programów historii w szkołach podstawowych i średnich.

W latach 1949—1952 skoncentrował uwagę na pracy naukowej i dydaktycznej, dużo publikował. W tym czasie uformował w SGPiS ośrodek badań nad historią gospodarczą.

W 1952 r. został ponownie prorektorem, a w 1955 r. — rektorem. Podczas drugiej i trzeciej kadencji wiele sił poświęcił sprawie zmiany struktury Szkoły, organizacji studiów i treści nauczania. Jego celem było stworzenie warunków dla kształcenia absolwentów o dobrym przygotowaniu ogólnoeconomicznym, zdolnych do stałego podnoszenia kwalifikacji, umiających samodzielnie myśleć, stawiać i rozwiązywać problemy, aktywnie zaangażowanych w rozwój socjalistycznej Ojczyzny.

Przeświadczony, że dobry poziom dydaktyki jest ściśle związany z rozwojem nauki, żywo interesował się pracą badawczą w szkole. Z Jego inicjatywy powstawały nowe zakłady naukowe. Jego zasługą było reaktywowanie w ramach SGPiS Instytutu Gospodarstwa Społecznego (1957 r.).

Nie zaniedbywał własnej twórczości naukowej, w której także znajduje wyraz Jego bogata natura i szerokie horyzonty. Osobowość naukową A. Grodka ukształtowała się pod wpływem Jego dwóch mistrzów: od Krzywickiego przejął metodę pracy naukowej, socjologiczne i historyczne traktowanie zjawisk ekonomicz-

nych, natomiast współpraca z Krzeczowskim pozwoliła Mu wzbogacić warsztat naukowy, przejąć pasję poszukiwań źródłowych.

W twórczości naukowej Grodka wyróżnić można kilka nurtów: od prac warsztatowych, wymagających wielkiej erudycji i pracowitości, prac z zakresu nauk pomocniczych historii, przez badania monograficzne w dziedzinie historii gospodarczej i historii myśli ekonomicznej, rozprawy z zakresu metodologii ekonomii i historii gospodarczej, po wielkie ujęcia syntetyczne. Nie cofał się przed podjęciem żmudnych, czasochłonnych poszukiwań i drobiazgowych analiz, ale zbadanie danego zjawiska potrzebne Mu było przede wszystkim dla poznania procesu rozwoju społeczno-gospodarczego.

Znajdował zawsze czas na kierowanie pracą naukową młodej kadry. Inspirował podejmowanie nowych problemów badawczych. Zachęcał do śmiałego stawiania hipotez i krytycznego stosunku do utartych poglądów.

Kierując swoją uczelnią był zarazem czynnie zaangażowany w przemiany zachodzące w kraju i starał się — jako przewodniczący Sekcji Szkół Ekonomicznych przy Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego — wnieść swój wkład w przebudowę całego wyższego szkolnictwa ekonomicznego. W uznaniu zasług naukowych i organizacyjnych otrzymał A. Grodek nominację na profesora zwyczajnego (1958 r.), szereg wysokich odznaczeń państwowych, zaś Senat SGPiS uznał, iż „Profesor Andrzej Grodek dobrze zasłużył się Szkole”.

Był przy tym człowiekiem bardzo bezpośrednim i skromnym. Łatwo zyskiwał sympatię. Był wspaniałym kolegą i towarzyszem. Zamiłowany turysta, młodszym od siebie dawał przykład sprawności i wytrzymałości podczas górskiej wycieczki.

Ostatnie dwa lata życia trawiła Go ciężka, nieuleczalna choroba. Świadom swego stanu pracował do końca. Pisał artykuły i notatki, przygotowywał nowe wykłady i skrypty, korygował i oceniał prace uczniów, inicjował nowe badania, układał plany działalności Katedry i Szkoły, wiedząc, że nie będzie ich realizował. Gdy już nie mógł mówić — pisał.

Długotrwała choroba pozwoliła Jego środowisku i władzom wyrazić Mu za życia szacunek, uznanie i wdzięczność. Na krótko przed śmiercią, dziękując wiceminister E. Krassowskiemu, napisał:

„Jestem prawdziwie wzruszony do wodami uznania Ministerstwa. Przykro mi tylko, że nie wiem, czy będę mógł się odwdzielić. Jeszcze raz dziękuję. Polska, Polska Ludowa, Socjalizm. To nie są puste słowa. Szczególnie kto może dla nich pracować”.

na budowach

NA WIELU ważnych dla gospodarki budowach od początku roku toczą się uporczywe zmagania z czasem. Oto jak wyglądają podstawowe problemy, na których rozwiązywaniu koncentrują się wysiłki wykonawców.

ZAKŁADY ODĄZOTOWANIA GAZU W ODOLANOWIE — I etap. Kłopoty są przede wszystkim ze zgromadzeniem potrzebnej liczby spawaczy. Większość fachowców tej branży pracuje obecnie przy montażu urządzeń w Hucie „Katowice” oraz w Rafinerii Nafty w Gdańsku. Podjęto starania, by zwiększyć liczbę spawaczy (a także dostarczyć na budowę więcej dźwigów), ale mimo to nie wydaje się możliwe uruchomienie zakładu w maju, jak to zostało założone. Realny termin dla pierwszego ciągu instalacji, to lipiec 1975 r., a dla drugiego — sierpień tegoż roku.

HUTA IM. LENINA — WALCOWNIA BLACH TRANSFORMATOROWYCH W BOCHNI. Termin rozruchu walcowni wyznaczony został na grudzień tego roku. Jego zagrożenie wynika głównie z następujących powodów: opóźnień w dostarczaniu dokumentacji, przede wszystkim dla robót elektrycznych i instalacyjnych, niepełnych dostaw urządzeń (szczególnie aparatury elektrycznej) i spóźnienia prac instalacyjnych. Mimo tych kłopotów przewiduje się, że termin grudniowy zostanie dotrzymany.

HUTA ZAWIERCIE-ELEKTROSTALOWNIA — I etap. Aktualnie uzyskany meldunek z tej budowy brzmi następująco: Na skutek opóźnionych dostaw dokumentacji utrudnione zostały zamówienia maszyn i urządzeń. Jeśli chodzi o aparaturę i urządzenia elektryczne, to brak jeszcze w ogóle w tej sprawie decyzji. Należy się liczyć z faktem, że ze względu na późne dostawy suwnic, roboty przy ich montażu zbiegną się wszystkie w jednym czasie. Dla rozpoczęcia prac rozruchowych w czerwcu niezbędna jest natychmiastowa dostawa aparatury i urządzeń elektrycznych oraz suwnic.

WYTWÓRNIĄ SPRZĘTU MECHANICZNEGO „DELTA” W ŁODZI. Generalnie wykonawcą tego obiektu jest Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłu Lekkiego nr 1 w Łodzi i jak dotychczas nie najlepiej się spisuje. Według stanu na koniec stycznia 1975 roku, tj. po upływie 70 proc. okresu wynikającego z cyklu budowy, zaawansowanie robót budowlano-montażowych wynosi zaledwie 39,6 proc.

RAFINERIA W GDAŃSKU — BLOK PALIWOWY. Obszernie o tej budowie informujemy w osobnym materiale. Wiadomości z ostatniej chwili są następujące: Mimo szeregu zobowiązań inwestora nadal występują braki w dostawach i dokumentacji, które uniemożliwiają kompleksowe prowadzenie robót i montaż. Brak paruset pozycji (kolan, zwolek, zaworów, pomp, zasuw, rur, kołnierzy, śrub, napełniaczy, blachy trapezowej). Ponieważ w dostarczonej dokumentacji wprowadzane są zmiany, które powodują roboty dodatkowe, istnieje obawa, że końcowe terminy rozruchu bloku przesuną się o jeden do półtora miesiąca.

ZAKŁADY TWORZYW SZTUCZNYCH „ERG” W GLIWICACH — ODDZIAŁ WYROBÓW NIKLOWYCH. Według kontraktu z firmą zagraniczną urządzenia dla instalacji wytwórstwa papieru mikowego miały się znaleźć na placu budowy dopiero w końcu marca br. Kilkakrotnie podejmowane próby przyspieszenia dostaw nie powiodły się. W tej sytuacji przewiduje się, że instalacje do przetworstwa papieru mikowego zostaną wykonane w terminie, natomiast urządzenia do produkcji tego papieru ruszą z około 3-miesięcznym opóźnieniem.

FABRYKA DYWANÓW IGŁOWYCH W KOWARACH. Koncentracja robót, jaka ma aktualnie miejsce na tej budowie, powinna pozwolić na przekazanie części produkcyjnej w terminie. Gorzej jest z budownictwem towarzyszącym. Brak terenu (warunki górskie), sprawi, że na miejscu przeznaczonym na budownictwo towarzyszące zlokalizowano tymczasowe zaplecze dla pracowników budujących część produkcyjną. Dodatkowe utrudnienie stanowi fakt, że z powodu nadrabiania opóźnień (w części produkcyjnej) z poprzednich lat, nie starcza ludzi do podjęcia innych robót. Resort budownictwa, którego przedsiębiorstwa są wykonawcami inwestycji w Kowarach, ma nadzieję, że część obiektów zaprojektowanych tradycyjnie uda się zbudować z lekkich konstrukcji stalowych, co pozwoli na skrócenie cyklu realizacji i terminowe rozpoczęcie produkcji.

Fot. S. ZUBCZEWSKI

J.D.

sprawy ekonomistów

NAUKA I PRAKTYKA

WYNIKI BADAŃ NAUKOWYCH są wyznacznikiem rozwoju społeczno-gospodarczego. Tego nie trzeba właściwie już udowadniać, z jednym tylko zastrzeżeniem — w przeszłości byliśmy zafascynowani badaniami w naukach technicznych, zostawiając jakby w cieniu nauki społeczno-ekonomiczne. Obecnie nauki społeczno-ekonomiczne zdobyły właściwą pozycję w kształtowaniu przyszłego rozwoju kraju.

Przykładem jest działalność Instytutu Funkcjonowania Gospodarki Narodowej w SGPiS, prowadzącego prace w dwóch zasadniczych kierunkach dotyczących: „Wieloszczełowego systemu rachunku ekonomicznego w gospodarce socjalistycznej” oraz „Ekonomiczno-finansowych i społecznych narzędzi zarządzania produkcją i konsumpcją”. Obok tego Instytutu w SGPiS działają: Instytut Rozwoju Gospodarczego, Instytut Gospodarstwa Społecznego oraz Instytut Gospodarki Krajów Rozwijających się. Tworzą one wraz z pięcioma wydziałami naukowo-dydaktycznymi oraz kilkudziesięcioma katedrami, od 1972 r. strukturę organizacyjną Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Chodziło zwłaszcza o wyspecjalizowanie się uczelni w określonych dziedzinach nauk ekonomicznych, ze szczególnym uwzględnieniem problemów społeczno-gospodarczych w skali kraju oraz regionu warszawskiego. Wpływ na powstanie instytutów miało również wprowadzenie nowego systemu finansowania badań naukowych.

Do podstawowych zadań Instytutu Funkcjonowania Gospodarki Narodowej należy: 1) intensyfikowanie podstawowych, rozwojowych procesów naukowo-badawczych oraz wdrożeniowych poprzez organizację multidyscyplinarnych badań, w których biorą udział naukowcy, niezależnie od ich organizacyjnej przynależności do określonych katedr i wydziałów uczelni oraz przedstawicieli prakty-

ki; 2) koncentrowanie badań naukowych na szczególnie ważnych problemach rozwoju społeczno-gospodarczym kraju i regionu warszawskiego.

W ramach tych ogólnie wyznaczonych zadań IFGN prowadzi trzy podstawowe kierunki badań naukowo-badawczych: problemy węzłowe, badania dla organizacji gospodarczych, podstawowe badania na użytek własny. Do problemów węzłowych należą trzy zagadnienia, które przypadły instytutowi z jedenastu tematów wyznaczonych do rozwiązania przez nauki społeczne na II Kongresie Nauki Polskiej. Są to:

● Metody centralnego planowania i zasady funkcjonowania gospodarki, w tym m.in. problematyka cen w gospodarce socjalistycznej, zasady rachunku efektywności inwestycji, finansowe instrumenty kierowania gospodarką narodową, system planowania i zarządzania handlem zagranicznym.

● Funkcjonowanie, organizacja i kierunki rozwoju handlu wewnętrznego w Polsce, m. in. ekonomiczno-społeczny system kierowania przedsiębiorstwami handlowymi, system wzajemnego oddziaływania produkcji i handlu, system sterowania konsumpcją i rola handlu w tym systemie.

● Problemy przestrzennego zagospodarowania kraju, m. in. gospodarowanie ziemią jako czynnikiem wytwórczym.

W ramach badań naukowych prowadzonych na zlecenie organizacji gospodarczych Instytut zajmuje się m. in. „ekonomiczną efektywnością chemizacji gospodarki narodowej” oraz: „Systemem ekonomiczno-finansowym FSO” i „Kryteriami oceny działalności gospodarczej FSO”. Dla potrzeb własnych IFGN prowadzi badania w czterech zespołach badawczych:

— techniczne i ekonomiczne problemy jakości produkcji, — gospodarowanie usługami handlowymi,

— warunki optymalizacji planów różnych szczebli,

— miejsce przedsiębiorstwa i wielkiej organizacji gospodarczej w systemie funkcjonowania gospodarki narodowej.

W pracach biorą udział naukowcy wielu specjalności. Do każdego tematu powołany jest zespół specjalistów z różnych dziedzin. W ten sposób instytut stwarza możliwości współpracy zespołowej. W skład zespołów badawczych wchodzi młodzi naukowcy. Prowadzą oni badania, które później są wykorzystywane w pracach doktorskich. Podjęto również próby powiązania seminariów

magisterskich z pracami naukowo-badawczymi poszczególnych zespołów. Studenci są zaangażowani przede wszystkim do prac związanych ze zbieraniem informacji i źródłowych materiałów badawczych. Za istotną cechę prac badawczych Instytutu uważa łączenie badań podstawowych i wdrożeniowych, a więc kształtowanie pełnego „cyklu technologicznego” badań aż do momentu konsultacji i opiniowania sposobów, wdrożeń do praktyki.

W 1974 r. Instytut Funkcjonowania Gospodarki Narodowej prowadził 25 tematów naukowo-badawczych, których wartość kosztorysowa wynosiła ponad 6,2 mln złotych. Spośród prac, które według planu miały być ukończone w roku ubiegłym, 6 tematów nie zostało sfinali-

zowanych. Wchodzą one w skład problemów węzłowych. Przyczyną jest m. in. znaczne obciążenie funkcjami administracyjnymi kierowników poszczególnych zespołów badawczych.

W następnej pięcioletniej kadencji na pracach badawczych Instytutu zostanie położony na problematykę wzajemnych związków gospodarki narodowej z gospodarką światową, a mianowicie: jaki jest wpływ systemu funkcjonowania gospodarki narodowej na proces intensyfikacji jej udziału w międzynarodowym podziale pracy? oraz: jaki wpływ ma system funkcjonowania gospodarstw narodowych (kapitalistycznych i socjalistycznych) na gospodarkę krajową.

ANDRZEJ CHMIELEWSKI



NASZ HANDEL Z BELGIĄ

TADEUSZ RUZIK

Ostatnie lata przyniosły szeroki rozwój stosunków politycznych i gospodarczych między Polską a Belgią. Punktem zwrotnym w tym procesie była wizyta w Belgii w listopadzie 1973 roku I Sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, towarzysza **EDWARDA GIERKA**. Za kilka dni gościć będziemy w naszym kraju przybywającego z rewizytą Premiera Belgii **LEO TINDEMANS'A**. Fakt ten stanowi okazję do szerszego zajęcia się jedną z najważniejszych dziedzin wzajemnych stosunków, a mianowicie współpracą gospodarczą.

BELGIA należy do grona tradycyjnych partnerów gospodarczych i handlowych Polski. Jako kraj wysoko rozwinięty, posiadający nowoczesny i dobrze zorganizowany przemysł przetwórczy, jest Belgią pożądanym nie tylko w Polsce, ale i w skali światowej kontrahentem. Świadczą o tym chociażby najwyższe w świecie obroty handlu zagranicznego przypadające na jednego mieszkańca, które wyniosły już w roku 1972 około 3 tys. dolarów. Wiele gałęzi belgijskiego przemysłu może poszczycić się produkcją o najwyższych parametrach technicznych i jakościowych. Dotyczy to przede wszystkim hutnictwa, przemysłu metalurgicznego, niektórych dziedzin chemii i przemysłu maszynowego.

Polska realizując nakreślone przez VI Zjazd Partii zadanie dynamicznego rozwoju gospodarki m. in. drogą rozszerzenia współpracy gospodarczej z zagranicą, intensywnie rozwija wymianę z Belgią korzystając z jej osiągnięć technicznych i bogatych doświadczeń w produkcji i handlu.

POCZĄTKI I ROZWÓJ KONTAKTÓW

Początki polsko-belgijskich kontaktów handlowych sięgają roku 1922, kiedy to zawarty został w Brukseli Traktat Handlowy między Polską a Belgią i Wielkim Księstwem Luksemburskim, opierający wymianę na klauzuli największego uprzywilejowania. Traktat zawarty na jeden rok z możliwością przedłużenia, obowiązywał aż do II wojny światowej, uzupełniony w latach 1936 i 1937 dodatkowymi układami dotyczącymi niższych celnych.

W okresie międzywojennym Belgia była zsołstym co do wielkości wymiany partnerem polskiego handlu zagranicznego. Polska eksportowała wówczas do Belgii głównie artykuły rolnicze i hodowlane oraz węgiel, surowiec manganowy i inne towary, o- trzymując w zamian przede wszystkim wełnę oraz złoto, miedź, przed- dzie wełnianą i jedwabną oraz kwia- ty.

Po wojnie kontakty handlowe zostały wznowione już w 1946 r. pod- pisanie rocznej umowy handlowej. Ostatnio natomiast, w latach 1971—1974 wymiana handlowa między Polską i Belgią odbywała się w o- parciu o wieloletnią umowę handlo- wą z 25 listopada 1971 roku. Obecnie, po wygaśnięciu z końcem 1974 roku wieloletniej umowy handlowej i bra- ku nowej (z uwagi na wspólną poli- tykę handlową EWG) ramy współ-

pracy między obu krajami określa zawarty w listopadzie 1973 roku pod- czas wizyty w Belgii, I Sekretarza PZPR towarzysza Edwarda Gierka, 10-letni Układ o rozwoju wspó- pracy gospodarczej, przemysłowej, nau- kowej i technicznej.

Układ ten, podobnie jak pozostałe tego typu umowy zawarte z innymi krajami kapitalistycznymi, ma cha- rakter ramowy. Czuwaniem nad rea- lizacją Układu, inicjowaniem rozwoju współdziałania ekonomicznego w zakresie przewidzianym przez Układ oraz usuwaniem ewentualnych trud- ności zajmuje się powołana tą umow- ą Międzyrządowa Komisja Miesz- ana.

DYNAMIKA WYMIANY

Do roku 1970 polsko-belgijskie o- broty towarowe wzrastały mało dy- namicznie i nierównomiernie. Dopie- ro w latach 1971—1974 obserwujemy bardzo intensywny ich rozwój. W o- kresie tym wartość wzajemnej wy- miany towarowej zwiększyła się z o- koło 250 mln zł dew. do blisko 1,5 mld zł dew., a więc prawie sześciokrotnie, co postawiło Belgię pod względem wielkości wymiany z Pol- ską przed takimi krajami, jak Nor- wegia, Finlandia, Japonia czy Ho- landia. Tak znaczny wzrost obrotów towarowych wpłynął również na u- mocnienie się pozycji Belgii wśród partnerów gospodarczych Polski z EWG: obecnie kraj ten zajmuje 4 miejsce w całości polskiego importu z tego obszaru (po RFN, W. Brytanii i Francji), a 6 w eksporcie do kra- jów „dziewiątki” (wyprzedzając je- dynie Holandię i Irlandię). Tym sa- mym obroty z Belgią obejmują 9 proc. wymiany handlowej Polski z EWG, około 5 proc. obrotów z całym obszarem krajów kapitalistycznych rozwiniętych oraz około 2,5 proc. ca- łości obrotów polskiego handlu za- granicznego.

Można by postawić pytanie, czy 2,5-procentowy udział Belgii w na- szych obrotach to dużo czy mało, czy jest to szczyt naszych wzajemnych możliwości, czy może początek drogi ku wszechstronnemu rozwojowi pol- sko-belgijskiej współpracy gospo- darczej i wymiany handlowej? Od- powiedzi na te pytania, choć może niepełne, uzyskamy po przyjrzeniu się dynamice i strukturze rzeczowej wymiany.

Wysokie tempo rozwoju charakte- ryzujące polsko-belgijskie obroty to- warowe w latach 1971—1973, uległo w roku 1974 dalszemu znacznemu przyspieszeniu. Tempo wzrostu na-

szego wywozu do Belgii było o prze- szło 20 punktów wyższe od średniego tempa wzrostu eksportu do pozosta- łych krajów kapitalistycznych rozwi- niętych, zaś importu z tej grupy kra- jów najwyższe, jako że przywóz z Belgii zwiększył się aż o blisko 160 proc. (przy średnim wzroście impor- tu z krajów zachodnich o ok. 52 proc.).

Tak znaczna dysproporcja we wzroście eksportu i importu mająca miejsce również i w latach poprzed- nich, przyczyniła się do dalszego po- głębienia i tak już ujemnego dla Pol- ski salda bilansu handlowego. Pol- ski eksport do Belgii, który wyniósł w roku 1974 ok. 360 mln zł dew., sta- nowi zaledwie 30 proc. wartości na- szego importu z tego kraju, podczas gdy odpowiedni wskaźnik dla W. Brytanii wynosi 70 proc., Francji 75 proc., a Włoch 90 proc.

STRUKTURA EKSPORTU

Co składa się na nasz eksport do Belgii? Główną pozycję, i to już od szeregu lat, stanowią surowce, w tym kluczową rolę odgrywa węgiel (pre- de wszystkim koksujący). Jego u- dział w globalnym eksporcie Polski do Belgii był w roku ubiegłym re- kordowo wysoki, osiągając ponad połowę wartości. Z innych tradycy- nie dostarczanych przez nasz kraj na rynek belgijski surowców wymienić należy tarcicę, przędzę bawełnianą oraz niektóre surowce dla przemy- słu chemicznego.

Systematycznie z roku na rok wzrasta eksport do Belgii polskich wyrobów przemysłu elektromaszy- nowego, aczkolwiek w roku ubie- głym wykazał on kilkupunktowy spadek spowodowany raczej czynni- kami koniunkturalnymi niż struktu- ralnymi. W wywozie tej grupy towa- rów, której udział w polskim ekspor- cie do Belgii wynosi około 9 proc., wymienić należy maszyny i urządze- nia hutnicze i odlewnicze, armaturę metalową sanitarną, narzędzia, obra- biarki skrawające do metalu, maszy- ny i aparaturę dla przemysłu che- micznego, lekkiego oraz rolnictwa i gospodarki leśnej, środki techniki obliczeniowej, maszyny elektryczne, części i podzespoły urządzeń ele- ktronicznych, artykuły gospodarstwa domowego itp. Polska dostarcza po- nadto na rynek belgijski produkty rolnictwa i artykuły przemysłu spo- żywczego.

Rozpatrując strukturę polskiego eksportu do Belgii nie można nie zauważyć, iż nie jest ona w pełni zadowalająca, szczególnie jeśli weź- mie się pod uwagę niewielki udział maszyn i urządzeń w wywozie przy- szybko wzrastającym w ostatnich kilku latach nowoczesnym potencja- le produkcyjnym polskiego przemysłu. Poprawa struktury będzie jednak wymagała, obok wzmocnienia wysił- ku pracowników handlu zagranicz- nego, znacznego zwiększenia i wzboga- cenia asortymentu dostarczanych przez przemysł maszyn i urządzeń na eksport, jak również rozszerzenia polsko-belgijskiej kooperacji prze- mysłowej. Wzrost bowiem eksportu

wyrobów przemysłu elektromaszy- nowego jest nieodzowny, szczególnie w świetle zakupów inwestycyjnych, jakich już dokonaliśmy i jakich za- mierzamy dokonać w Belgii.

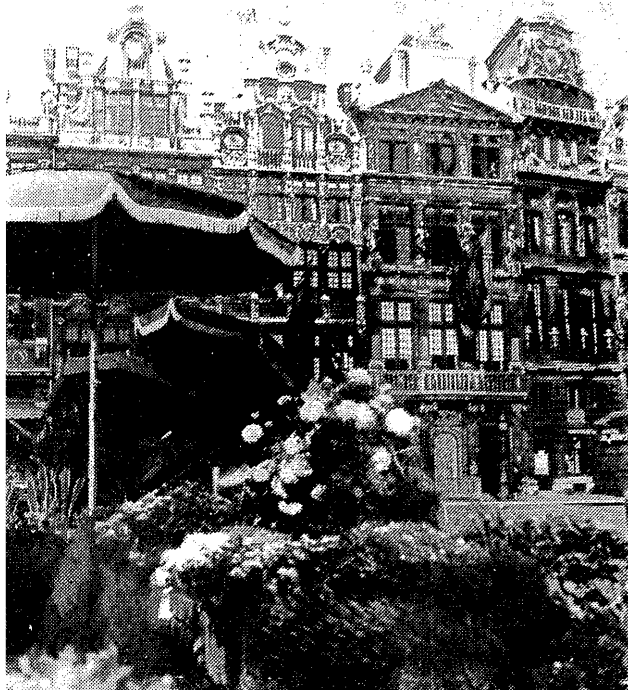
CO IMPORTUJEMY

Podobnie jak w polskim eksporcie na rynek belgijski, tak i w imporcie z tego kraju największy odsetek przypada na surowce i półfabryka- ty. Najpoważniejszą pozycją w tej grupie są zakupy stali i wyrobów ze stali, które stanowiły w roku ubie- głym ponad 1/3 naszego globalnego importu z Belgii. Sprowadzamy z te- go kraju także poważne ilości pro- duktów chemicznych i petrochemi- cznych.

Stale wzrastają również zakupy wyrobów belgijskiego przemysłu e- lektromaszynowego. Szczególnie du- ży przyrost tego importu, bo blisko o 50 proc. nastąpił w roku ubiegłym. Na przyroście tym zaważyły przede wszystkim dostawy dla naszej Huty „Florian”, dla której zakupiliśmy w Belgii technologie oraz urządzenia do produkcji blach trapezowych. Pod- kreślić jednak trzeba, że mimo wy- sokiego tempa wzrostu polskich za- kupów inwestycyjnych w Belgii, u- dział tej grupy towarów w naszym imporcie, który wyniósł około 11 proc. jest stosunkowo niski, znacz- nie niższy od udziału maszyn i urzą- dzeń w globalnym imporcie z takich krajów, jak: RFN, W. Brytania czy Francja. Przyczyn tego stanu rzeczy należałoby szukać w takich okolicz- nościach, jak brak w Polsce tradycji zakupu maszyn i urządzeń na rynku belgijskim, przy istniejących moż- liwościach ich zakupu na innych, tra- dycyjnych, lepiej znanych rynkach, jak również w mniej korzystnych warunkach finansowania dostaw belgijskich dóbr inwestycyjnych do Polski w porównaniu chociażby z warunkami finansowymi uzyskiwa- nymi przez nas w innych krajach wysoko rozwiniętych.

Dla całości obrazu należy dodać, iż udział dostaw z tytułu kooperacji przemysłowej w polsko-belgijskich obrotach towarowych jest bardzo nieznaczny, należy jednak oczekiwać w najbliższych kilku latach znacznej poprawy w tym zakresie. Wskazuje na to pomyślnie rozwijające się współpraca w dziedzinie chemii mię- dzy polskimi przedsiębiorstwami a firmami Union Chimique Belge, Solvay, Labofina i Monsanto; w przemy- śle stalowniczym między koncernem Cockerill Ougree i Zjednoczeniem Hutnictwa Żelaza i Stali oraz między wielkimi firmami Martin i Zjed- noczeniem Przemysłu Bawełnianego — Pótnoc. Na konto polsko-belgi- jskiej kooperacji zapisane także na- leży udział CHZ „Polimex—Cekop” w dostawach dla budownictwa w Lu- dowie Republice Konga zakładów petrochemicznych Pointe Noire. Jed- nym z głównych wykonawców tego kontraktu jest belgijska firma S.A. Sybetra, która łączy z Polimex—Cekop umowa o współpracy na rynkach trzech.

Z przedstawionej struktury obro- tów wynika jasno, iż dokonują się one w obrębie stosunkowo wąskiego i tradycyjnego asortymentu, co przy utrzymywaniu się takiego stanu przez dłuższy okres może niekorzy- stnie wpłynąć na dynamikę wymia-



Fot. S. ZUBCZEWSKI

ny. Odpowiadając na wcześniej po- stawione pytania należy więc powie- dzieć, że współpraca gospodarcza i wymiana handlowa między Polską i Belgią, mimo wysokiej dynamiki, jaką się charakteryzuje, zaczyna do- piero wkraczać na drogę intensy- wnego rozwoju.

PERSPEKTYWY WSPÓŁPRACY

Dalszy dynamiczny, a przede wszy- stkim harmonijny, rozwój polsko- belgijskiej współpracy gospodarczej i wymiany handlowej uzależniony jest od kilku czynników. Pierwszym z nich jest wzrost polskiego eks- portu do Belgii. Osiągnięcie tego celu zależy od rozszerzenia asortymentu polskich towarów dostarczanych na ten rynek oraz od stworzenia przez Belgię warunków swobodnego do- stępu do jej rynku przez zniesienie stosowanych do niektórych grup to- warowych i towarów ograniczeń ilo- ściowych, kontyngentów oraz licencji importowych. Drugim z nich jest stworzenie trwałej podstawy wzaje- nnych obrotów przez szeroki rozwój kooperacji przemysłowej, która do- tychczas, jak już wskazano, odgry- wa jeszcze nieznaczna rolę w obro- tach. I-wreszcie trzeci czynnik to zint- ensyfikowanie i wzbogacenie form promocji wzajemnej wymiany han- dlowej. Chodzi tu przede wszystkim o uruchomienie odpowiednich me- chanizmów finansowych popierania obrotów, rozwiązanie spraw organi- zacji sprzedaży i, co jest również wa- żne, przełamanie u kupców w obu krajach pewnych barier psycholo- gicznych oraz udowodnienie, że wie- le polskich wyrobów jest również do- brych jak szwedzkie czy brytyjskie, a wiele wyrobów belgijskich nie u- stępuje nowoczesnością i jakością towarom innych rozwiniętych kra- jów.

Niektóre z przytoczonych proble- mów były przedmiotem obrad I Se- sji Polsko-Belgijsko-Luksemburskiej Komisji Mieszanej powołanej 10-le- tnim Układem o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej, nauko- wej i technicznej, która odbyła się

w listopadzie ubiegłego roku w War- szawie. W podpisaniu na zakończe- nie Sesji protokołu stwierdza się, iż po przedyskutowaniu założeń i kie- runków współpracy na rok 1975 i la- ta dalsze uznano, iż najbardziej kon- kretnie perspektywy rozwoju koope- racji przemysłowej istnieją w prze- myśle chemicznym, hutnictwie, prze- myśle maszynowym, budownictwie i przemyśle materiałowym budowlanych oraz w przemyśle spożywczym. U- zgodniono również środki mające służyć dalszemu rozwojowi wszech- stronnej współpracy gospodarczej między Polską i Belksem, a przede wszystkim kooperacji przemysłowej i współpracy naukowo-technicznej łącznie z wymianą stażystów i sty- pendystów.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż wysiłki podejmowane na szczeblu rządowym w poszukiwaniu dróg in- tensyfikacji wzajemnej współpracy znajdują pełne poparcie sfer prze- mysłowo-handlowych obydwu kra- jów. Dowodem tego była wizyta w Polsce w grudniu ub. roku misji przemysłowców belgijskich pod prze- wodnictwem prezesa Federacji Pro- wosta. W skład misji wchodził przed- stawiciel branży: hutniczej, chemi- cznej, elektromaszynowej, wydobyw- czej, przetwórstwa spożywczego, bu- downictwa oraz przedstawiciel grupy dystrybucyjnej. Członkowie misji przyjęci zostali przez I Sekretarza Partii towarzysza Edwarda Gierka.

Ponadto odbył on rozmowy z kie- rownikami szeregu resortów gos- podarczych, uzgadniając wiele pro- jektów konkretnych przedsięwzięć inwestycyjnych, zakupów itp.

★

Sumując trzeba powiedzieć, że do- bra, przyjacielska atmosfera panują- ca we wzajemnych stosunkach, do- tychczasowe poważne osiągnięcia i istniejące jeszcze większe moż- liwości rozszerzenia i pogłębienia współdziałania pozwalają optymi- stycznie zaopatrzyć się na perspek- tywy polsko-belgijskiej współpracy gospodarczej.

za granicą piszą

AMERYKANIE ZMIENIAJĄ STYL ŻYCIA

Amerykański tygodnik „US NEWS AND WORLD REPORT” zamieścił artykuł „Adapting to hard times — Americans change life styles”. W artykule tym czytamy m. in.:

Recesja zrodziła wśród większości społeczeństwa atmosferę niepewno- ści — zarówno konsumenci jak i przedsiębiorcy nie wiedzą, jak dłu- go jeszcze będzie trzeba zaciśnąć pa- sa. Produkcji nadal zwalniają ro- botników i wahają się z podejmowa- niem decyzji inwestycyjnych. Hand- lowcy — zwłaszcza detaliści — za- stanawiają się, kiedy powinni znów zacząć zwiększać zapasy, by przy- gotować się do ponownego wzrostu zakupów, na co wciąż mają nadzie- ję. Lokalne władze publiczne doko- nują, w związku ze spadkiem docho- dów budżetowych, redukcji pracow- ników, choć grozi to pogorszeniem się pracy policji, straży pożarnej i innych tego typu służb. Konsumen-

ci zaniepokojeni możliwością utraty pracy redukują wydatki budżetu ro- dzinnego, niekiedy decydując się na znaczne obniżenie poziomu życia i na znacznie prostszy niż dotąd styl ży- cia.

Można mieć nadzieję, że propono- wana obniżka podatków, która ma objąć zarówno konsumentów jak i przedsiębiorstwa, znów pobudzi aktywność gospodarczą. Ale na krót- ką metę jest wciąż jeszcze mnóstwo powodów do zmartwień związanych z ciągle trwającym ograniczaniem działalności przedsiębiorstw. Jak długo będzie trwał ten spadek ak- tywności gospodarczej? Rzecznik firmy Reynolds Metals odpowiada: „Jest to dla nas taka sama zagadka jak dla innych. Sytuacja wymaga cotygodniowej oceny”.

W związku z rosnącą liczbą bankructw większość przedsiębior- ców jest zdania, że przetrwanie roku

1975 wymaga skrupulatnej analizy wydatków. W szczególności firmy handlu detalicznego zamykają te punkty sprzedaży, które nie są do- statecznie zyskowne. Przedsiębior- cy handlu detalicznego stwierdzają, że część klientów bardzo liczy się z groszem i domaga się obniżki cen różnych produktów przy zachowa- niu tej samej jakości.

W całym kraju przedsiębiorcy re- dukują liczbę pracowników i przed- łuzają swe godziny pracy, by jakoś związać koniec z końcem. W nie- których wypadkach pracownicy go- dzą się na bezpłatną pracę w dodat- kowych godzinach, by umożliwić kontynuację działalności przedsię- biorstwa. Np. w Waszyngtonie pra- cownicy Pan American World Air- ways w wolnym od pracy czasie po- malowali biura firmy oszczędzając swemu pracodawcy ok. 10 tys. dol. W innych firmach na terenie całego kraju robotnicy godzą się na zmnie- szenie liczby własnych godzin pra- cy, by uchronić w ten sposób przed redukcją swych kolegów. Pracow- nicy municypalni — policjanci, stra- żacy i urzędnicy — stwierdzili, że i oni nie są zabezpieczeni przed re- cesją, ponieważ władze miejskie przeprowadzają redukcję, by zmnie- szyć stale rosnące koszty. Ekono- miści przewidują, że sytuacja finan- sowa wielu władz miejskich ulegnie dalszemu pogorszeniu, ponieważ po- głębienie się recesji doprowadzi do dalszego spadku wpływów z podatku dochodowego i podatków akcyzo- wych.

Redukcje pracowników w tak wie- lu działach gospodarki sprawiły, iż

konsumenci utracili wiarę w przy- szłość. I choć wielu ludzi zareago- wało pozytywnie na przedstawiony przez prezydenta Forda program ob- niżki podatków — często wyrażają nadzieję, że spłacać dzięki temu nie- które należności czy też dokonają niektórych odłożonych na później zakupów — to wciąż jeszcze panuje powszechny nastrój zwątpienia i braku poczucia bezpieczeństwa.

W wielu rejonach kraju masy bez- robotnych tłoczą się w biurach za- trudnienia starając się uzyskać pra- cę w ramach nowego programu usług publicznych, finansowanego przez władze federalne. W Atlancie tłum liczący ok. 3 tys. osób dosłown- ie wylał drzwi usiłując się dostać do urzędu zatrudnienia mające- go do dyspozycji 225 miejsc przy pra- cy w usługach publicznych. Nawet w Arlington (Wirginia), mieście leżą- cym w najbliższym sąsiedztwie og- romnej „zabezpieczonej przed re- cesją” bazy zatrudnienia, jaką stanowi Waszyngton z jego dziesiątkami urzędów publicznych, na wiadomość o możliwości zatrudnienia 47 osób zgłosiło się ponad 400 kandydatów.

Wielu pracujących musi się godzić na pracę w skróconych godzinach. Wielu też nie ma żadnej pewności, czy nie utraci pracy. Ich rodziny og- raniczają wydatki — ostrożniej do- konują zakupów, rezygnują z róż- nych artykułów luksusowych, więcej przebywają w domu. Inni, którzy w innych warunkach zrezygnowaliby z obecnej pracy, by znaleźć sobie jakieś lepsze zajęcie, obecnie boją się tego uczynić. Niektórzy nie mo-

gąc znaleźć pracy na rynku cywil- nym, zaciągają się do sił zbrojnych. Trudna sytuacja konsumentów i przedsiębiorstw skłania do ostro- żności banki. Twierdzi się, że niektóre z nich zaostriżyły kryteria udzielania pożyczek i wydawania kart kredyto- wych; w szczególności przy rozpa- trywaniu wniosków o nowe karty banki domagają się szczegółowszego przedstawienia całości sytuacji fi- nansowej i zadłużenia kandydata. W związku ze wzrostem wypadków niespłacania w terminie pożyczek banki zwiększają też rezerwy prze- znaczone na pokrycie strat. Ekspersi twierdzą, że mimo, iż firmy zajmu- jące się ściąganiem długów ściągają większą niż zwykle liczbę dłużni- ków, to w mniejszej niż zwykle licz- bie wypadków udaje im się wy- egzekwować należność.

Agencje podróży odnotowują za- stój w dziedzinie wycieczek zbioro- wych, w szczególności wycieczek do Europy. Powody: wzrost ceny bile- tów, wyciekająca postawa konsu- mentów i wzrost kosztów pobytu amerykańskich turystów za grani- cą.

Ten mroczny obraz nie pozbawio- ny jest jednak jaśniejszych miejsc. Wielu firmom i wielu osobom pry- watnym mimo wszystko powodzi się zupełnie dobrze. W sytuacji, w której ludzie mniej uczęszczają do lokali i częściej jadają w domu, specjali- zująca się w przyprawach wielka fir- ma Mc. Cormick and Company po- daje, że jej obroty wzrosły w po- równaniu z rokiem ubiegłym o 17 proc. W Chicago firma National Can Corporation również uzyskuje wy-

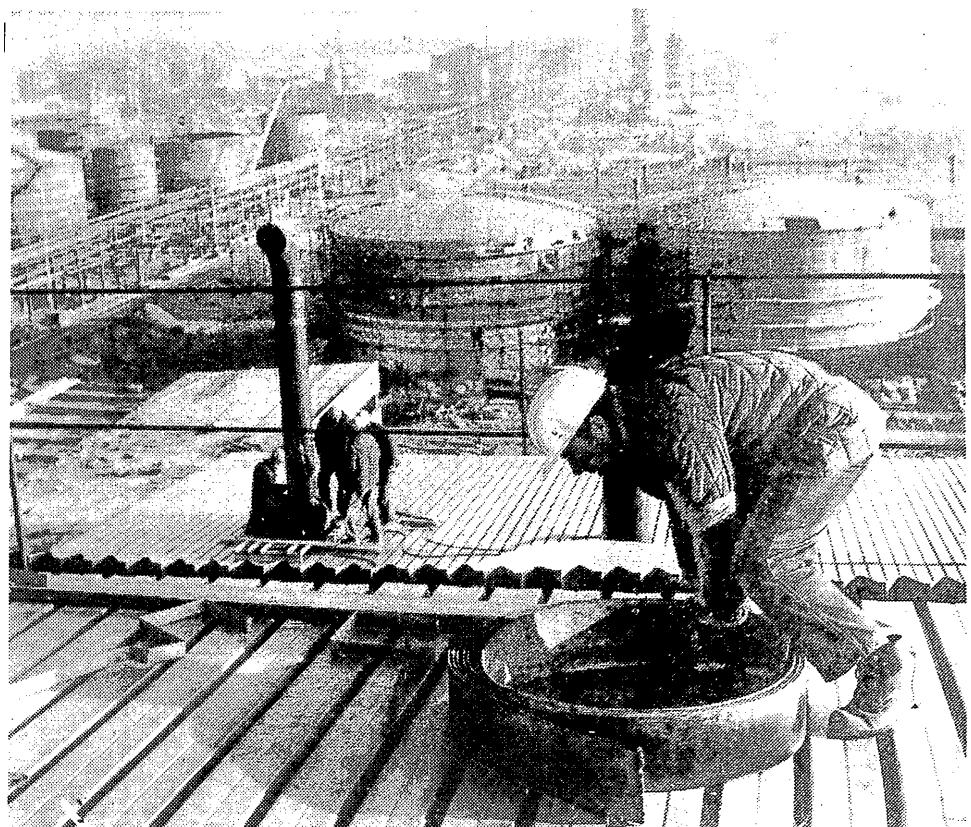
sokie obroty, ponieważ — jak stwier- dzają jej przedstawiciele — „ludzie zmieniają w korzystny dla nas spo- sób strukturę zakupów”. Mianowicie, według przedstawicieli tej firmy, wielu ludzi decyduje się na zakup tańszej żywności w puszkach zamiast kupować droższą żywność w stanie świeżym lub żywność mrożoną.

Nadal przeżywają rozkwit wszel- kiego rodzaju firmy zajmujące się reperacjami. Firma Season-All In- dustries w Indiana (Pensylwania) produkująca podwójne drzwi i okna zwiększyła obroty o ponad 20 proc. w związku z powszechnym dążeniem do poprawy izolacji cieplnej w ra- mach oszczędności energii. W De- troit jedna z gazet doniosła na pod- stawie przeprowadzonej przez siebie ankiety, że detaliczne sklepy z czę- ściami samochodowymi zwiększyły o 15 proc. obrotów takimi artykułami, jak: świece samochodowe, filtry i podręczne zestawy narzędzi.

Pewien psycholog obniżył hono- raria pobierane od znękanich infla- cją klientów, by wykazać im, że „człowiek nie musi być człowiekiem wilkiem”. Jednakże wśród zna- cznej liczby konsumentów i przedsiębiorców nadal przeważa — jak się wydaje — atmosf- era ostrożności. Jeden z eksper- tów mówi na ten temat: „W Amery- ce zbyt wielu ludzi uważa obecnie, że najbezpieczniej jest nie nic robić. I wiele firm opróżnia magazyny nie dlatego, że zmniejszają się ich obro- ty, ale dlatego, że rok 1975 przynosi z sobą więcej znaków zapytania, niż jakikolwiek rok z mojej pamięci”.

W RAFINERYJNYM TYGLU

TADEUSZ STEC



Fot. CAF

NAD BAŁTYKIEM w sąsiedztwie taśmociągów węglowych Portu Północnego, przy specjalnie zbudowanym pirsie — już niedługo cumować będą wielkie zbiornikowce z bliskowschodnią ropą. Ostatnio właśnie w basenie bazy paliwowej tegoż portu dokonano próbnego wprowadzenia i cumowania zbiornikowca „Kasprowy Wierch” — największego statku Polskiej Marynarki Handlowej, pierwszego z serii tankowców, zakupionych specjalnie do przewozu paliw płynnych.

W pobliżu portu powstaje w rekordowym tempie na wskroś nowoczesna rafineria. Trzeba się spieszyć, jako że nadrabiamy opóźnienia w tej dziedzinie przetwórstwa, a poza tym rafineria — łącznie z portem — to w ogóle podstawowy warunek przyjęcia ropy drogą morską. RAFINERIA „GDANSK” powstająca na wielkim obszarze jest obecnie największą budą inwestycyjną w Polsce po hucie „Katowice”. Budujemy ją według projektu włoskiej firmy „Snam Progetti” koncernu „Eni”. Ta sama firma prowadzi kompletację dostaw. Zgodnie zaś z kontraktem zawartym z „British Petroleum”, RAFINERIA „GDANSK” jeszcze w tym roku ma przetworzyć 1,5 miliona ton ropy.

Niewiele tu hał, murów, budynków. Wiadomo — rafineria. Rurociągi nad ziemią, rurociągi w ziemi, zbiorniki, wieże rafinerijne. Co krok trudne do rozwiązania „zagadki” w postaci splecionego węzła przebiegających instalacji, rur, przewodów. Przysłowiową „nie Ariadny” do tego labiryntu ma w swych rękach zastępca dyrektora rafinerii do spraw inwestycyjnych, mgr inż. JÓZEF KIJOWSKI, który objaśnia cel i przeznaczenie tego obiektu. Do Gdańska przyjechał z Płocka, gdzie zdobywał doświadczenie. Ale tam budowa rafinerii została przygotowana i zorganizowana z odpowiednim wyprzedzeniem. W Gdańsku budowlani rozpoczęli roboty niejaką z marcu. W dodatku od samego początku natrafili na wielkie trudności. Pod rafinerię wyznaczony wsak został teren, leżący poniżej poziomu morza. Na tych depresyjnych gruntach były bagna, mokradła, a wśród nich soczewki wody, sięgające głębokości kilkunastu metrów. Musiano nawieźć prawie dwa miliony metrów sześciennych piasku, wbić setki pali, odwodnić grunt i dopiero po tych trudnych i skomplikowanych zabiegach — przystąpić do układania fundamentów.

Teraz cztery tysiące ludzi z 32 przedsiębiorstw montuje misterną pajęczynę konstrukcji, rur, instalacji. Już położono ich 55 kilometrów. Złącza rur spawa się w osłonie argonu. Zbudowana dla samej tylko rafinerii elektrociepłownia może ogrzać i oświetlić setki tysięcy mieszkań.

sto. Wodę do kotłów energetycznych doprowadzać się będzie z Motławy. Pomieści ją zbudowany na obrzeżu rafinerii wielki zbiornik. Od samego początku budowy — ogromna koncentracja robót. Teraz jednak — w ostatnich miesiącach budowy — występuje największe nasilenie prac. Dziennie wykonuje się tu zadania — nie wliczając wartości urządzeń — których koszt wynosi 6 milionów złotych. Do uruchomienia rafinerii, czyli za niecałe cztery miesiące, budowlani mają przerobić jeszcze ponad miliard złotych!

NA ŚWIATOWYM POZIOMIE

Niewiele już zmieni się w krajobrazie rafinerii — powiada kierownik zakładu paliwowego, mgr inż. CZESŁAW MILEWSKI. Już stoi znakomita większość urządzeń bloku paliwowego. Góruje w nim 44-metrowa stalowa kolumna destylacji próżniowej — niejako serce całej instalacji. Inżynier Milewski ma skalę porównawczą, przyjechał tu także z Płocka. Tam urządzenia destylacyjne przerabiają tradycyjnie jeden tylko gatunek ropy, tu — instalacja przystosowana jest do produkcji dwóch gatunków „GDANSK” różni się od poprzednich rafinerii jednak przede wszystkim nową, zupełnie nie stosowaną dotąd technologią i najnowszymi rozwiązaniami technicznymi. Niektórych sprowadzonych tu instalacji nie ma nawet w Europie, podobnie pracują dotąd tylko w Stanach Zjednoczonych i w Japonii. Do nowej techniki przystosowany został również wysoki poziom organizacji i zarządzania. W Płocku np. każda wytwórnia ma odrębną sterowniczą, oddzielną komórkę sterowniczą. W „GDANSKU” nie będzie wydziałów, oddziałów — wprowadzi się zintegrowany, centralny system sterowania. Proces produkcyjny, przez wszystkie jego fazy, będzie procesem ciągłym. Wszystkie polecenia, impulsy, dyspozycje przekazywane będą z jednego, centralnego ośrodka. Obiekt ten o ładnej, nowoczesnej architekturze, odpowiada swoim wyglądem duchowi współczesnej petrochemii.

Uwagę przykuwają także potężne zbiorniki, każdy z nich ma średnicę 70 metrów. Sasiadują one z blokiem paliwowym — stoją oczywiście w odpowiedniej odległości. Mało tego — oddzielone są od siebie i od reszty otoczenia — betonowymi barierami. Inżynierowie gdańskiej rafinerii, gdy mówią o nowoczesnych rozwiązaniach produkcyjnych, ściśle wiążą je ze sprawą ochrony środowiska, której tu, w Gdańsku nadaje się wielką rangę. Ochrona ta została potraktowana z największą troską. Zastosuje się tu najnowocześniejsze urządzenia do odsiarczania, odzyskiwania siarki

wykorzysta się do celów produkcyjnych.

PALIWA DLA FLOTY

Termin rozruchu krótki. Na początek, czyli w pierwszym etapie — informuje główny inżynier inwestycji, mgr inż. CZESŁAW KOPEC — nasza rafineria dostarczać będzie benzyny i oleje paliwowe. „GDANSK” zacznie zasilać naszą gospodarkę w produkty najwyższej jakości, nie ustępujące w niczym wyrobom takich renomowanych w świecie firm, jak „Shell” czy „Esso”. Po to właśnie zainstalowane zostały w „GDANSKU” najnowocześniejsze urządzenia. Paliwa tej nadbałtyckiej rafinerii, mówiąc bardziej fachowym językiem, cechować będzie wysoka liczba oktanowa. Uzyska się ją poprzez duży stopień uszlachetnienia w instalacjach reformingu katalizacyjnego.

Paliwa gdańskiej rafinerii przeznaczone są głównie do napędu naszej floty handlowej. W produkty te zaopatrywać się będą także statki obcych bander — z naszej strony stanie się to korzystną formą eksportu paliw. Zaspokojone zostaną nie tylko potrzeby marynarki handlowej i całego regionu nadmorskiego, ale częściowo także pozostałych regionów kraju. Nastąpi to zwłaszcza z chwilą dalszej rozbudowy rafinerii. W przyszłym roku uruchomiona zostanie kolejna instalacja — blok olejów smarowych, dzięki czemu „GDANSK” zwiększy przetwórstwo do trzech milionów ton ropy. W drugim etapie — w wyniku dalszej rozbudowy — osiągnąć ma 6 milionów ton. Nasza nadmorska rafineria otrzymywać będzie wówczas także tzw. „aromaty” (ksyleny, benzyny lekkie, benzen) — produkty dla chemii do wyrobu lakierów i tworzyw syntetycznych.

Dla potrzeb rafinerii, jak wspominałem, sposobimy port, sposobimy flotę. Gotowe są już zbudowane dla Polski w stoczniach RFN dwa zbiornikowce: „Kasprowy Wierch” i „Giewont” — po 137 tys. DWT. Kolejny tankowiec „Zawrat”, o nośności 145 tys. ton, zamówiliśmy w Japonii, dojdą do nich dwie następne duże jednostki — razem sześć zbiornikowców. Ostatni z nich przekazany będzie naszemu przewoźnikowi — Polskiej Żegludzie Morskiej — w połowie przyszłego roku.

NIE TYLKO „GDANSK”

— Poprawi się więc znacznie bilans paliw — mówi mgr inż. ZBIGNIEW KOSOWICZ, główny specjalista branży rafinerijnej Zjednoczenia „Petrochemia” w Krakowie. Głównym naszym dostawcą ropy, a także jej produktów — jest Związek

Radziecki. Podpisana niedawno polsko-radziecka umowa na dostawę w 1975 roku kilkunastu milionów ton ropy naftowej, benzyny technicznej, olejów i smarów — oznacza dalszy, poważny wzrost zakupu tych produktów w ZSRR. Zapewnienie przez Kraj Rad dostaw tych niezwykle ważnych dla naszej gospodarki surowców w znacznej mierze niezależna nas od okresowych wahań koniunkturalnych, występujących na rynkach kapitalistycznych. Związanie się poprzez płocki rurociąg ze źródłami radzieckiej ropy, a także z dostawcami z krajów bliskiego Wschodu, sprawia, że nie przestajemy na „GDANSKU” i innych rafineriach. Gospodarka czeka, wszak na zwiększone dostawy paliw i produktów dla petrochemii. Od tego zależy realizacja wielkiego programu chemicznej transformacji naszego życia. W programie tym sprzeciwiane są zadania chemii dla motoryzacji, budownictwa (tworzywa), ludzi (odzież, odzież). Wysiłek to ogromny. Państwo na przemysł rafinerijny w ostatnich pięciu latach wydało więcej, niż przez poprzednie 25 lat Polski Ludowej.

Prócz „GDANSKA”, dalsze instalacje przerobu ropy powstaną w plockiej rafinerii, drugiej fabryce smarów w Jędrzejcach, zamierza się budować rafinerię w Białymostku. Będzie to obiekt petrochemiczny o dużym udziale surowców dla

chemii. Poważne plany rozwojowe zakreślone mają także zakłady tworzyw i włókien syntetycznych oraz farb i lakierów — bazujące na produktach pochodzenia naftowego. Idzie tu m. in. o polistyren, kauczuki. W najbliższych latach ma nastąpić potrójne zwiększenie produkcji tworzyw syntetycznych. Niektóre z nich, jak torfien, politryloksan, stwarzają nowe możliwości konstrukcyjne. Można będzie stosować je bowiem do produkcji łożysk, przekładni zębatych, nie mówiąc o różnych elementach do karoserii samochodowych. Warto tu wspomnieć, że 80 procent produktów finalnych, otrzymywanych z ropy, to wyroby chemiczne. Aby jednak sprostać wszystkim potrzebom, w tym także w dziedzinie paliw, musimy przerobić w 1980 roku 28 milionów ton ropy naftowej.

SELEKTOL

Obok ofensywy inwestycyjnej, trwają równocześnie zakrojone na szeroką skalę badania i próby w zakresie technologii i technik otrzymywania produktów rafinerijnych i petrochemicznych. Należy do nich m. in. grupa paliw i smarów do polskiego „Fiatu”. Licencja „Fiatu” obejmuje, jak wiadomo, tylko sprawę produkcji tego samochodu. Włoski zastrzegł sobie jednak, iż musimy sprostać wymogom w produkcji olejów i smarów napędowych. Otrzy-

mywanie ich objęte jest bowiem przez światowe firmy ścisłą tajemnicą i dlatego sami podjęliśmy się opracowania 20 rodzajów olejów i smarów, głównie do „Fiatu 126p” i „125p”, które odpowiadałyby najwyższemu światowemu normom. Jednym z najważniejszych produktów był olej silnikowy. Stąd też Instytut Technologii Nafty w Krakowie, któremu powierzono rozwiązanie tych problemów, stanął przed nietatnym zadaniem.

Wymagania techniczne na olej silnikowy typu selektol obejmują 38 parametrów jakościowych, w tym 6 badanych w specjalnych przyrządach testowych oraz 7 sprawdzonych w próbach na różnych silnikach i w różnych warunkach pracy. Są to badania niezwykle kosztowne i pracochłonne, wymagające stosowania unikalnej aparatury i pracy wysoko kwalifikowanej kadry. Placówką dysponującą takim wyposażeniem jest właśnie Instytut Technologii Nafty, mający swe oddziały w Krakowie i w Warszawie. Wysoki poziom fachowy ludzi oraz wspomniany sprzęt naukowo-badawczy przyniosły — jak powiedział zastępca pełnomocnika dla produktów naftowych do samochodu „Fiat”, doc. STEFAN PATZAU — pełny sukces. Opracowano ową grupę 20 produktów, a wśród nich olej pod nazwą Selektol SAE 10W/30. Uzyskał on międzynarodowe normy jakościowe, zaakceptowane przez FIATA.

GRUPA ENI

ROZMOWA Z DR. INŻ. ATTIGLIO BOTTARI PRZEDSTAWICIELEM NA POLSKĘ WŁOSKIEGO KONCERNU ENI



— Panie Bottari, czytelnikom polskim ENI kojarzy się przede wszystkim z pierwszym szefem koncernu, Enrico Mattei, który wiele lat temu zainicjował nowe, oparte na poszanowaniu równych praw partnerów, zasady współpracy z krajami, na terenie których eksploatowane są złoża ropy naftowej. Ale czym naprawdę jest ENI — ENTE NAZIONALE IDROCARBURI — obecnie i co sobą reprezentuje?

— ENI zostało utworzone przez państwo w 1953 r., a jej celem miało być „popieranie i urzeczywistnianie — jak głosi akt erekcyjny — w interesie całego narodu, wszystkich przedsięwzięć na polu paliw” (oprócz węgla przyp. TN). ENI aktualnie to grupa przemysłowa z kapitałem państwowym 1 078 900 000 000 lirów (na koniec 1972), posiadająca akcje około 200 przedsiębiorstw, z których 150 działa na terenie Włoch, a 50 za granicą. ENI posiada bezpośrednio lub pośrednio około 50 proc. wszystkich akcji tych przedsiębiorstw. Poszczególne przedsiębiorstwa nazywane państwowymi działają na takich samych zasadach — w sensie obowiązków, praw pracy, zysku, zasad konkurencji — jak przedsiębiorstwa prywatne.

Cała grupa ENI dzieli się na cztery sektory:

— paliw, w skład którego wchodzi między innymi AGIP, SNAM, — chemiczny i energii jądrowej (ANIC, AGIP NUCLEARE i inne),

— projektowania, budowy i montażu (SNAM PROGETTI, SAIPEM, TECNECO, GOTECECO, IDRO-TECNECO i inne), — mechaniczny i tekstylny (Lane-rossi, Nuovo Pignone i inne).

Jest jeszcze ponadto płyty sektor, bankowy, w skład którego wchodzi także firma, jak: SOFID, HIDRO-CARBONS INTERNATIONAL HOLDING, RADINVEST. Dochody netto całej grupy ENI wyniosły w 1973 roku 3 057 000 000 000 lirów.

— Co pozostało z pięknych ideł Enrico Mattei, jeśli chodzi o współpracę ENI z kontrahentami zagranicznymi?

— ENI traktuje swoich klientów jako partnerów. W stosunku do krajów socjalistycznych, a zwłaszcza z stosunku do Polski, przyjęliśmy zasadę stałego poszukiwania nowych form współpracy, której podstawą są wzajemne korzyści. Znalazło to swój wyraz w porozumieniu zawartym na okres 5 lat w roku 1973, między ENI a Ministerstwem Przemysłu Chemicznego PRL.

— Jaki jest zakres tej współpracy i jakie zagadnienia ona obejmuje?

— Jednym z najważniejszych i najbardziej interesujących dla obu stron zagadnień jest współpraca techniczna firmy SNAM PROGETTI z „BIPRONAFTEM”. W ramach tej współpracy SNAM PROGETTI dostarczył projekt wstępny i elementy dokumentacji technicznej dla rafinerii w Gdańsku, na podstawie których „BIPRONAFTE” mógł kontynuować prace projektowe aż do wykonania rysunków montażowych włącznie. Współpracowaliśmy również w sprawach doboru wyposażenia dla rafinerii.

— Jak Pan ocenia doświadczenia uzyskane w trakcie tej współpracy?

— Doświadczenia te są niezmiernie interesujące. Nastąpiła konfrontacja dwóch różnych systemów realizacji przedsięwzięć, różnych technik i metodologii. Jesteśmy przekonani, że wspólnie zebraliśmy bardzo bogaty kapitał doświadczeń, który przy realizacji ewentualnych następnych przedsięwzięć pozwoli na rozszerzenie ich skali oraz osiągnięcie jeszcze lepszych wyników w sensie optymalizacji kosztów inwestycji i skrócenia terminów realizacji.

— Czy można powiedzieć, że właśnie te doświadczenia stały się impulsem do rozszerzenia obszaru współpracy?

— Tak jest. SNAM PROGETTI wspólnie z polskim „PROSYNCEMEM” współpracuje przy budowie zakładów chemicznych i petrochemicznych przy pomocy komputerów. Już prawie rok grupa specjalistów polskich i włoskich opracowuje system takiego sterowania przy produkcji włókien poliestrowych w Toruniu. Za kilka miesięcy system ten zostanie uruchomiony. Współpraca dotyczy także wprowadzenia modeli matematycznych do sterowania procesami technologicznymi w zakładach chemicznych, petrochemicznych i rafinerijnych. We współpracy tej uczestniczą kolejne przedsiębiorstwa ENI — TEMA, specjalizujące się w projektowaniu systemów kontroli i zarządzania.

— Panie Bottari, jest Pan w Polsce już prawie dwa lata, mógł więc Pan poznać nasz kraj i nasze sprawy bliżej. Co wywarło na Panu największe wrażenie?

— Nie zastanawiałem się nad tym, mógłbym może wymienić takich spraw wiele... Ale jest niewątpliwie jeden fakt, który podziwiam nie tylko zresztą ja. Jest to niezwykle dynamiczny w ostatnich latach rozwój całej gospodarki polskiej, a przede wszystkim w szczególności. Rozwój w takim tempie jest tylko wyjątkowo odnotowywany w historii ostatniego dziesięciolecia, a tym bardziej unikalny w dobie kryzysu energetycznego.

— Jakie Pan, jako przedstawiciel ENI, wyciąga z tego wnioski?

— Widzimy wiele możliwości bliższej współpracy. Dla przykładu mogę podać, że analizujemy możliwości kooperacji w produkcji smarów. ENI jako jedyna firma w świecie opracowała technologię produkcji olejów syntetycznych i na tym polu rysują się duże możliwości. Duże szanse rozwoju współpracy widzimy w problemach związanych z ochroną środowiska, a konkretnie budowy oczyszczalni ścieków komunalnych i przemysłowych. Mamy znaczne doświadczenia w poszukiwaniach złóż ropy naftowej. Przy wierceniach w rejonie Mediolanu średnia głębokość otworów wynosiła 5 — 6 tys. m, nasz rekord głębokości to 6 300 m. Kolejnym zagadnieniem jest budowa rurociągów. Rozwiązaliśmy na przykład wiele problemów technicznych przy prowadzeniu rurociągu gazowego z Algierii na Sycylię przez Morze Śródziemne na głębokości 500 m, a następnie przez Alpy. Nie brakuje spraw i tematów, które poza już istniejącymi mogłyby się stać przedmiotem zainteresowania obu stron.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: TADEUSZ NOWAKOWSKI

„KULTURA” zrobiła rajd reporterski po przedsiębiorstwach i instytucjach, którym zima przysparza najwięcej kłopotów. W tym roku — zimy jakby nie było, a więc i kłopoty nie wystąpiły. Podstawowe pytanie, na które reporterzy próbowali znaleźć odpowiedź, brzmiało: a co będzie, jeżeli przyjdzie prawdziwa zima? Ano będzie kiepsko, ale w zasadzie „jesteśmy przygotowani”.

Pierwsza relacja dotyczy SPEC, a więc przedsiębiorstwa, które dostarcza ciepło do naszych domów. Przy porządkach mrozach tego ciepła jest w Warszawie trochę za mało, ale nie to jest najgroźniejsze — najgroźniejsze są awarie rur. Reporterzy próbowali nową rurę konić się w trzy lata, bo tandetny materiał. Można do tego dodać — a więc winni są producenci rur czyli hutnictwo? Nie takie to jednak proste. A że sprawa rur do

cieplej wody może być pouczająca, warto nieco bliżej jej się przypatrzeć. Opinia o tandetnym materiale powstała wśród warszawiaków dzięki prostej obserwacji — w starych domach rury na ogół nie pękają, a w nowych — rozłożą się, jakby nie były ze stali, lecz ze zbutwiałego drewna. Hutnicy twierdzą, że rury obecnie nie są gorsze, lecz lepsze — mamy specjalną zautomatyzowaną ocynkownię, a więc zabezpieczenie przed korozją powinno być skuteczniejsze. Kto jest więc winien?

Swego czasu próbowałem znaleźć odpowiedź na to pytanie. Niestety, bezskutecznie. Winnych, których można pokazać palcem, nie ma — przynajmniej jeżeli chodzi o ludzi. Rury żre korozja nie dlatego, że są gorsze, tylko dlatego, że jest inna

woda. Zawiera bowiem obecnie sporą dawkę detergentów, a to powoduje, że cynkowanie rur nie tylko nie zabezpiecza, ale jeszcze przyspiesza proces rdzewienia. Tak twierdzą naukowcy. Czemu jednak detergenty są tak groźne dla nowych rur, a nie dla starych? Okazuje się, że w czasach, kiedy jeszcze „OMO” było rytasem nabywanym w PKO za dewizy, a o „IXI” nikt w Polsce nie słyszał, zdążyła w istniejących wówczas rurach odłożyć się warstwa kamienia kotłowego, który skutecznie zabezpiecza przed stałoczerzymi detergentami. W nowych rurach — nim się zdąży warstwa kamienia odłożyć — już powstają dziury. Co trzy, cztery lata trzeba więc wymienić całą instalację ciepłej wody (wyższa temperatura zwiększa aktywność detergentów). Jak dotychczas innego rozwiązania u nas nie znaleziono.

Detergenty, jak wiadomo, nie są wynalazkiem polskim i stosuje je

cały świat, przy tym zaś wiele krajów — w ilościach większych niż my. Co tam się dzieje z rurami? Okazuje się, że pękają również na to, by wycofano z użycia środki piorące i czyszczące oparte na detergentach — postępu technicznego, nie da się bowiem łatwo cofnąć, nawet jeżeli przynosi uboczne skutki ujemne. Detergenty przyniosły na świecie ogromny skok w higienie osobistej ludzi, są łatwe w użyciu, a przy tym oszczędzają ogromne ilości tłuszczu, stosowanych w tradycyjnym mydle. Równocześnie jednak są b. trwałe i równie skutecznie, jak usuwają brud, niszczą życie biologiczne w wodzie. W Bałtyku na większych głębokościach są warstwy wody martwej — za to zawierającej detergenty, które spłynęły tam wraz z wo-

aby w nowych domach przez 3 — 4 lata nie grzać, to na rurach zdąży się wytworzyć warstwa kamienia kotłowego. Nie zanosz się również na to, by wycofano z użycia środki piorące i czyszczące oparte na detergentach — postępu technicznego, nie da się bowiem łatwo cofnąć, nawet jeżeli przynosi uboczne skutki ujemne.

Detergenty przyniosły na świecie ogromny skok w higienie osobistej ludzi, są łatwe w użyciu, a przy tym oszczędzają ogromne ilości tłuszczu, stosowanych w tradycyjnym mydle. Równocześnie jednak są b. trwałe i równie skutecznie, jak usuwają brud, niszczą życie biologiczne w wodzie. W Bałtyku na większych głębokościach są warstwy wody martwej — za to zawierającej detergenty, które spłynęły tam wraz z wo-

dami rzek. Przy okazji zaś detergenty korodują rury — i to głównie, a nie zatrucie środowiska, wywołano alarm na świecie. Może więc uda się wynaleźć środek równie pożyteczny, ale bez takich skutków ubocznych?

Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak cieszyć się, że zima była lekka, a więc woda w rurach mogła mieć i trochę niższą temperaturę, i niższe ciśnienie. Im zimniej będzie w następnych latach — tym więcej rur popękka. Chyba że dokonamy raz jeszcze kalkulacji i dojdziemy do wniosku, a może oplaca nam się bardziej miedziować czy plastikować rury — zamiast je wymienić. To jednak załatwi tylko część problemu, obecnie najbardziej widoczną, bo już niezwykle dokuczliwą. Czy jednak jest to część najważniejsza? S.C.

żywocik gospodarczy

● Koło hotelu „Forum” w Warszawie zbudowano wielopiętrowy garaż, należący do Wydziału Transportu „Orbisu”, ale garaż stoi pusty, ponieważ jest bardzo drogi, a za to nie ogrzewany. Cztery piąte miejsc nie są zajętych, a deficyt pogłębia się przez to, że „Orbis” daje wielkie ogłoszenia do prasy, żeby korzystać. Nawet państwowe instytucje nie chcą płacić 50 zł dziennie lub 1200 miesięcznie, szczególnie, że większe auta tam się w ogóle nie wciągną przez bramę. Aby zbudowany za dewizy garaż-parking zarobił na zwrot



ułożonej w niego, forsy, „Orbis” wystąpił — pisze „Życie Warszawy” — z wnioskiem o wprowadzenie zakazu parkowania na ulicy w całej okolicy.

Ze to zaś pepek Warszawy, zmusi się automobilistów do korzystania z usług „Orbisu”. Dobrze, że hotel „Forum” jest pełny i prosperuje, inaczej dyrekcja „Orbisu” w trosce o rentowność inwestycji poszaby prosić o zburzenie okolicznych domów, żeby ludzie nie mogli mieszkać tam.

● Przed warszawskim sądem odbył się proces urzędniczek jednej z central handlu zagranicznym, 24-letniej Lucyny D., która została skazana za to, że różne tajemnice służbowe przekazała belgijskiej firmie i przez to doszło do kontraktu niekorzystnego dla nas, a intratnego nadmiernie dla owej belgijskiej firmy. Interesująca jest skala wynagrodzenia, jakie Lucyna D. otrzymała za swoje usługi: komplet piór, 12 dolarów, kolacja i obietnica zaproszenia do Belgii.

● Tragiczny wypadek zdarzył się w biurach dyrekcji kieleckiej gastronomii, która szukała kandydata na wakujące stanowisko kierownicze. Wbrew ogólnie panującym zwyczajom sięgnięto do teczki personalnych własnych pracowników i znaleziono ideal: młodą dziewczyną, magistrem ekonomii, doświadczenie zawodowe, aktywistka organizacji mło-

dzieżowej. Wezwana i zawiadomiona o awansie delikwentka zemdlała z przerażenia. Powodem osunięcia się na dywan w gabinecie dyrektora był atak serca spowodowany strachem przed utratą dotychczasowej posady bufetowej w pewnej podrzędnej knajpie.

● W sklepie z zabawkami „Raj Dziecięcy” przy ul. 3 Maja w Katowicach wprowadzono do sprzedaży w każdym stoisku zapalniczkę gazo-



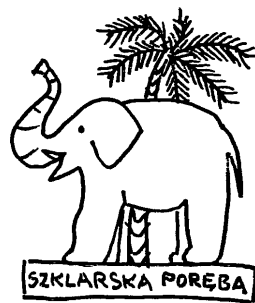
we. Zastosowano także intensywną reklamę. Mimo to zapalniczki nie idą, co świadczy, że w naszym kraju wolny wybór zabawki nie jest jeszcze rzeczywistą zdobyczą dzieci.

● Mariusz Rogalski kupił buty za 450 zł, ale nie nadawały się do

chodzenia, więc złożył reklamację. Odmówiono mu zwrotu pieniędzy. Zarząd GS w Kozienicach zaproponował obniżenie ceny kupionych butów do 250 zł i zwrot 200 zł. Wobec odmowy klienta złożono drugą propozycję: obniżki ceny do 100 zł i zwrot 350 zł. Ponieważ klient nie zgadzał się, a buty nie nadawały się do noszenia, zwrócono mu 450 zł, zaś buty zniszczone komisjynie przez spalanie. Nie wydaje nam się sprawiedliwe, że u nas, w sklepach, o cenę targować się może tylko sprzedawca, a kupujący w trakcie załatwiania sprawy — nie.

● Pabianicki sklep „Czuj-Czyn” przez pięć dni był nieczynny nie z powodu remanentu. Na drzwiach wywieszono napis, że jest on zamknięty z powodu przygotowań do remanentu. Zamknięcie sklepu z powodu remanentu nastąpiło dopiero później. Ponieważ sklepy właściwie zawsze szykować się mogą i powinny do remanentu, usankcjonowanie tego nowego powodu ich zamykania przyczyni się wydatnie do dalszego wzrostu oszczędności w PKO.

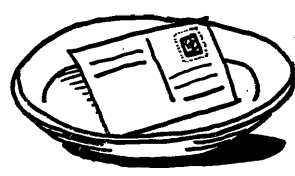
● Braki asortymentowe niektórych towarów na rynku uległy częściowemu zmniejszeniu, dzięki wyprodukowaniu i rzuceniu w sezonie



narciarskim na rynek w Szklarskiej Porębie nowej pamiętki z tej miejscowości. Jest to złoty ston, który stoi na baczność pod złotą palmą, pod którą na podstawie jest napis „Szklarska Poręba”.

● Książki zażaleń podawane są w restauracjach gościom jeszcze mniej chętnie niż wszystko inne. Dyrekcja Wrocławskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego, cytujemy: „...bynajmniej nie zamierza z nich rezygnować. Ponieważ jednak zdarza się, że czasem na tle udostęp-

niania tych książek powstają zatargi, dyrekcja WPPG postanowiła dać konsumentom inną, jeszcze bardziej skuteczną, możliwość przedstawiania uwag”. Są to karty pocztowe, na których uwagi można pisać, a następnie wrzucać je do skrzynki i wysłać do wspomnianej dyrekcji. Skarżący się będą nagradzani w drodze losowania. Karty pocztowe ma przy sobie każdy kelner i szatniarz, i można go o nie prosić, zamiast o książkę życzeń i zażaleń. W przekonaniu dyrekcji — bezkonfliktowo. „Wieczór Wrocławia” nazywa to „pożyteczną inicjatywą”. Istotnie: kto chce się skarżyć niech bierze od kelnera kartkę, a może wylosuje odkurzac. W następnym etapie pomysłu na udzielenie gastronomii będzie rozdzielanie gościom tam-tamów, aby mogli sygnalizować dyrekcji niedociągnięcia.



na rynku

„AROMILLA”

W starożytności kufkach, szafach i sekretarach — mówi mi kierowniczka działu zbytu Spółdzielni „Bytochemia”, MARIA WOŹNIAK — zawsze umieszczano pęki ziół, kwiatów, różne pomandry, które nadawały zapach białem, pościeli i odzieży. Podchwyciliśmy ten pomysł podejmując produkcję „AROMILLA” — pachnącej kuli — nowości w starym stylu.

Rzeczywiście. Kula pachnie intensywnie — producent gwarantuje dwuletni okres wydzielania zapachu. Na razie w sześciu zapachach: bzu, akacji, tabaku, lawendy, nasturcji i leśnym. Jest to „dziurkowana” kula z porcelit z wsadem zapachowym.

Oferta na „Wiosnie-75” — 15 tys. kul. Zdolność produkcyjna — 60 tys. rocznie. Zainteresowały się tą nowością hotele. Przypuszczalnie wy-

rób ten będą kupować również na-bycy indywidualni. Ale ta ostatnia sprawa nie jest wcale pewna, ponieważ... cena: 150 złotych.

Przy okazji o innych nowościach „Bytochemii”. Firma ta podjęła produkcję bardzo delikatnego szamponu glicerynowego dla dzieci „Pixa” — nie wytwarzanego dotychczas przez nikogo. Cena buteleczki — 15 złotych. Na „W-75” wystąpił producent z ofertą 100 tys. butelek — handel zamówił 150 tysięcy.

Trzecią nowością jest płyn do kąpieli pieniający dla dzieci „Pies Hakelberry”. Również na bazie gliceryny kosmetycznej. Cena — 15 złotych. Oferta 100 tys. — w całości kupione przez handel.

Warto firmę tę pochwalić za systematyczne rozwijanie produkcji

wyrobów dla dzieci. Przypomnijmy, że na „J-74” „Bytochemia” wystąpiła z bardzo udaną aerolożową serią „Bobas”: „olejek natłuszczający”, „oliwka do opalania” i „oliwka po kąpieli”. Dodajmy, iż wyroby dziecięce produkuje ona bez użycia detergentów.

CO NA NOGĘ?

Oferta przemysłu pończosznego na „Wiosnę-75” miała wartość 3 253 mln złotych i w całości została z kontraktowana przez handel. Niemniej handel sygnalizuje, że wystąpią w pończosnictwie niedobory, wynoszące w stosunku do planu rocznego — 6,4 mln par, a w stosunku do potrzeb rynku — 9 mln par.

Częściowe braki dotyczą przede wszystkim skarpet i podkolanówek z przędzy teksturowanej oraz wy-

robów z przędzy wełnianej oraz raj-tuzów, bawełnianych dla dzieci. Produkcenci zobowiązali się części tych braków uzupełnić w trakcie miejscowej, dodatkowej giełdy.

PINGPONGOWE RUMCAJSY

Dokonałem ciekawego odkrycia podczas poznańskiej „Wiosny-75”. Oto podchodzę do stoiska Pamięt-karskiej Spółdzielni Pracy z Lubli- — bardzo ładne laleczki, m.in. „Boiki-Lolki”, „Boiki kowboje”, „Czerwone Kapturki”, „Rumcajsy”, cały tłum baśniowych postaci. Nie powiem, ładne. Przeglądam się bliżej — główki laleczek zrobione są z... pingpongowych piłeczek.

I oto wiem wreszcie dlaczego brakuje na rynku, od kilkunastu miesięcy, piłeczek do ping-ponga. Owa spółdzielnia zużywa ich miesięcznie około 30 tysięcy.

— Mamy kłopoty z kupnem tych piłeczek — oświadcza przedstawicielka firmy, Irena Chocyk. Już niedługo główki robić będziemy z drewna.

Czas najwyższy! Handel importuje te piłeczki, krajowe bowiem wykorzystuje się do zupełnie innych celów.

DIETETYCZNE KONSERWY DROBIOWE

Z wielkim apetytem degustowałem dwie nowości rynkowe produkowane przez Poznańskie Zakłady Drobiarskie w Ostrzeszowie. Firma ta, jako pierwsza w kraju, podjęła się produkcji konserw dietetycznych z mięsa kurcząt.

„Filety z kurcząt w galarecie” przeznaczone są do spożywania na zimno. Podstawowym składnikiem jest mięso jasne z części piersiowej tuszki kurcząt, niskokaloryczne, za-

wierające łatwo przyswajalne białko.

Cena 200 gramowej puszki 22 zł. W br. producent dostarczy na rynek około 25 ton filetów.

Drugą nowością dietetyczną jest „mięso kurcząt w sosie potrawkowym” — przeznaczone do spożycia na gorąco jako część dania obiadowego. Składa się z ugotowanego mięsa kurcząt z dodatkiem sosu sporządzonego na wywarze ze świeżych warzyw z dodatkiem śmietany (wędług receptury 18-procentowej) oraz drobno posiekanej marchewki. Cena i wielkość produkcji identyczna do poprzedniej konserwy.

— Obie te konserwy — zapewnia dyr. handlowy PZD, MARIAN NOWICKI — nie zawierają kazeiny. Charakterystyczną ich ograniczono zawartością sodu i małą zawartością tłuszczu. Są małosolne. Absolutnie zdrowe. Handel chciał kupić 5 razy więcej, ale nie mamy na razie urządzeń, żeby zwiększyć produkcję.

giełda samochodowa

ANALIZA kształtowania się cen samochodów na giełdzie warszawskiej w ciągu ostatnich trzech miesięcy pozwala na sformułowanie następujących wniosków: zarysowała się wyraźna tendencja wzrostu cen samochodów używanych produkcji krajowej i najpopularniejszych marek wozów importowanych z krajów RWPG. Po drugie — trwała stagnacja cen na samochody firm zachodnich (poza Volkswagena), a w przypadku wozów kosztownych w eksploatacji — występuje wyraźny regres cen.

FIAT 126p: Ceny wahały się od 90 do 115 tys. zł. 90—92 tys. złotych sobie za wozy z początków 1974 roku. 105, 107, 112, a nawet 115 tys. zł żądano za egzemplarze fabrycznie nowe. Był to zatem jak dotychczas najbardziej kasowy samochód roku, a posiadacze bez żenady korzystali z koniunkturalnych możliwości.

SYRENA 105: Minęły czasy, kiedy za nowy egzemplarz Syreny 105 żądano się sto i więcej tysięcy złotych

i „ani grosza mniej”. W pierwszym kwartale tego roku proponowano się nowe Syreny 105 za 80—85 tys. zł. Samochód ten jest aktualnie znacznie mniej widoczny, przytłoczony „Fiatami”.

TRABANT 601: Używając terminów sportowych można by powiedzieć, że jest to samochód, który od lat utrzymuje wysoką równą formę. Podobnie miała się sprawa z Trabantami w ostatnich trzech miesiącach. Za egzemplarze użytkowane przez okres dwóch, a nawet powyżej dwóch lat, a więc średnio po 25—30 tys. km, żądano z reguły 80 tys. zł. Samochody zeszłoroczne wycenione były w granicach 90 tys. zł.

FIAT 125p: Zróżnicowanie cen tradycyjnie już dla tej marki samochodu duże, miało jednak wyraźną jedną cechę — duży spadek wartości samochodu po przekroczeniu rocznego okresu użytkowania. Propozycje sprzedaży dla wozów pochodzących z produkcji roku 1973 czy końca 1972 zawierały się między 110

a 130 tys. zł. Na drugim krańcu, a więc za Fiata 125p z tegorocznej produkcji, życzyło sobie (do przedostatniej niedzieli marca): 170, 178, 183, 185 tys. zł.

FIAT 127p: W pierwszym kwartale tego roku utrzymała się tendencja, która zarysowała się w drugiej połowie ubiegłego roku. Nowy samochód tego modelu kosztował na giełdzie 170 tys. zł, ale już po roku używania ok. 140 tys. zł.

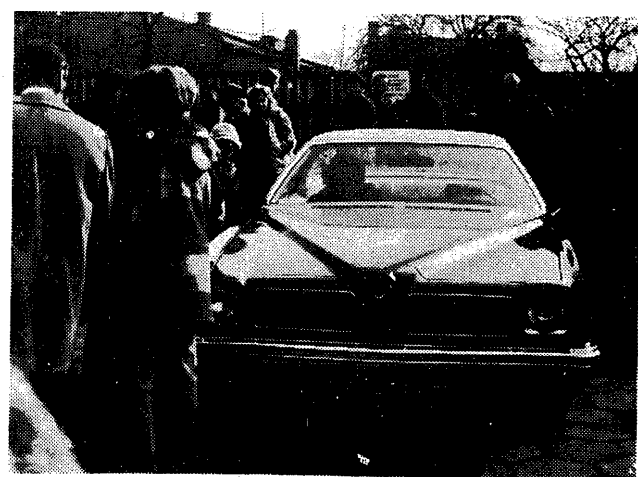
FIAT 132p: W tej grupie samochodów (z ubiegłorocznej produkcji) od dłuższego czasu ceny kształtowały się następująco: za wozy z silnikiem o pojemności 1600 ccm żądano ok. 250 tys. zł, natomiast egzemplarze z silnikiem 1800 ccm oferowane były przeważnie za 280—285 tys. zł.

SKODA S-100. Od początku roku „Skoda”, zwłaszcza model S-100L w wersji de luxe, rywalizuje ceną z „Fiatem” 125p (1300). Jeśli były różnice na korzyść „Fiata” (w jednym i drugim przypadku mowa o wozach

nowych), to niewielkie. Cena „Skody” oscylowała między 155 a 165 tys. zł.

WARTBURG 353. Samochód ten miał na giełdzie warszawskiej okresy świetności i dni spadku zainteresowania. Tym razem wszystko odbyło się jakby szybciej. Zwykle każdy z tych okresów trwał dłużej. Były jedna, czy dwie niedziele w tym roku, kiedy ceny poszły w górę, potem nastąpił powrót do codzienności. Ta norma — to 160 do 165 tys. zł za wóz z ubiegłorocznej produkcji i w granicach 135—140 tys. zł za używany około dwóch i powyżej dwóch lat.

P.S. Zwracam uwagę, że dane dotyczące kształtowania się cen „Trabanta”, „Skody” i „Wartburga” nie uwzględniają zmian z ostatnich dwóch niedziel. Tendencje ofertowe, jakie się na te samochody ustala w związku z nowymi warunkami ich nabywania, będziemy mogli przedstawić dopiero po kilku tygodniach. (jod)



Fot. S. ZUBCZEWSKI

ŻYCIE GOSPODARCZE

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Chelstowski (zastępca redaktora nacz.), Zofia Długosz, Władysław Dudziński (zastępca redaktora nacz.), Jerzy Dzięciołowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Froelich, Jan Głowczyński (redaktor naczelny), Anna Kusko, Andrzej Lubowski, Marcin Makowiecki, Andrzej Nalecz-Jawecki, Marjan Sikora, Andrzej Sikorski, Ernest Skalski, Jerzy Surdykowski, Wiesław Synder, ZESPÓŁ KONSULTACYJNY: Mirosław Dyner, Mieczysław Kabał, Marian Krzak, Zbigniew Madej, Mieczysław Mieszczańkowski, Zbigniew Mikołajczyk, Marek Misiak, Zofia Morecka, Marian Ostrowski, Józef Pajestka, Grzegorz Pisarski, Antoni Rajkiewicz, Wiesław Rydygier, Władysław Sadowski, Jan Werner, Barbara Wisniewska, Wydawca: RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”. Wydawnictwo „Współczesne”, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, telefon 28-24-11. ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 7 — 00-950 — Warszawa). Telefon: redaktor naczelny 28-06-28, zastępca redaktora naczelnego 21-55-57, sekretarz redakcji 28-06-28. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.

WARUNKI PRENUMERATY: cena prenumeraty krajowej rocznie: 28 zł, półrocznie: 14 zł, kwartalnie: 7 zł. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miastach wojewódzkich i powiatowych zamawiają i opłacają prenumeratę wyłącznie w miejscowych Oddziałach i Delegaturach RSW „Prasa — Książka — Ruch” w terminie do 25 listopada na rok następny. Instytucje i zakłady pracy z siedzibą w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”, jak również prenumeratorzy indywidualni, opłacają prenumeratę tylko we właściwych dla doręczycieli placówkach pocztowo-telekomunikacyjnych lub u doręczycieli — w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest droższa o 40 proc. od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych w Warszawie, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienia prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa — Książka — Ruch”, 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 28.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” — 00-624 Warszawa, Marszałkowska 3/5. Numer indeksu 38603/38506.